№ 38. Warszawa, dnia 21 (9) Września 1889 r. Rok IX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2 k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Szanownych abonentów kwartalnych dla uniknięcia przerw i opóźnień w przesyłce pisma prosimy o wczesne nadesłanie przedpłaty.

POLITYKA.

KRÓLESTWO CZESKIE.

Co żywe— żyje. Daremnie przeciw temu faktowi protestują nieraz wykręty, kłamstwa, sztuczne teorye-- nie ustępuje on pod ich parciem, nie słucha ich rozkazu. Nie pomogły też wszystkie katafalki, egzekwie, próby i wykreślenia z listy żyjących — naród czeski żyje, bo żywy. Jak zwykle w tego rodzaju przymusowych letargach i pogrzebach, potrzeba tylko niewielkiego otworu w mogile, najmniejszych dopływów świeżego powietrza, trochę ciepła i światła, ażeby nieboszczyk zmartwychwstał i walkę o swój byt nanowo podjął. Rok 1866 był dla czechów takiem zmartwychwstaniem. Z wytrwałością im właściwą, z uporem i wysiłkiem rozpoczęli oni w zmienionych warunkach pracę nad dźwignięciem się z upadku i odzyskaniem niezawisłości a przynajmniej możliwości rozwoju naturalnego. Że czasu nie tracili, że trudu nie żałowali, że zdobyli wiele — tego im nikt nie zaprzeczy. Przez długi szereg lat ich przewodnicy stanowili jak gdyby jedno stronnictwo, jeden zastęp, walczący pod wspólną chorągwią. Ale gdy niebezpieczeństwo zagłady z zewnątrz minęło, gdy naród utrwalił swoje istnienie, zaczął się powoli różniczkować, rozłamywać na dwie partye: młodych i starych. Nie był to rozbrat wyłącznie wewnętrzny. Po za odmiennymi poglądami w sprawach domowych, powstała niezgoda w zapatrywaniach na stosunki zewnętrzne, a przedewszystkiem na stosunek do państwa. Już z natury tych żywiołów wypływało, że młodzi szli naprzód prędzej i domagali się więcej, niż starzy. Dopóki pierwsi przedstawiali drobną, bezsilną i bezwpływową garstkę, zarówno rząd, jak ich przeciwnicy w kraju mogli ten zastęp lekceważyć. Ale po ostatnich wyborach do sejmu czeskiego, których rezultat był sam przez się objawem ważnym a nadto zapowiedzią innych, doniosłych następstw i pouczającą wskazówką zmiany położenia — trzeba było ze zwycięzcami się liczyć. Niewątpliwie bezpośrednim wynikiem tej konieczności jest zamianowanie namiestnikiem Czech hr. Thuna. Chociaż niemiec i feodał, należał on jawnie do stronników uroczystego włożenia korony św. Wacława na skronie Franciszka Józefa. Powierzenie mu zatem namiestnictwa wyraża poniekąd skłonność sfer rządzących ku tej idei. Naturalnie zachwyciła ona oba stronnictwa czeskie, które natychmiast wyłuskały ziarno z łupiny i zaczęły głosić nadejście nowej dla ich kraju epoki— koronacyę monarchy austryackiego w Pradze. Ale i tu musiała uwydatnić się różnica rytmu dążeń obu odłamów. Podczas gdy umiarkowańi, skromniejsi i leniwsi w swych pragnieniach starzy poprzestają na „uroczystości kościelnej," młodzi domagają się prawno-państwowych konsekwencyj tego aktu — rozszerzenia samorządu. A któż inny miałby przeciw temu naprzód zaprotestować, jeśli nie główni ciemiężyciele słowian austryackich — węgrzy! Oni też założyli swoje *veto*, grożąc, że w takim razie związek swój z monarchią zredukowaliby jedynie do prostej unii osobistej. Na nieszczęście głos tych ucywilizowanych hunnów pada tam na szalę jeszcze wielkim ciężarem, więc i w tej sprawie zaważy. Z drugiej strony oporem stanęli niemcy. W zasadzie nie są oni przeciwni wznowieniu królestwa czeskiego, ale ponieważ rząd od ich zgody z czechami w sejmie krajowym, z którego ustąpili i powrócić nie chcą, czyni podobno zawisłą koronacyę, więc oni wyzyskują korzystne dla siebie położenie, żądając ustępstw i ofiar, mianowicie (przynajmniej dotąd): niemieckiego senatu przy wyższym sądzie krajowym, rozdziału rady szkolnej, kuryj narodowościowych itd.

Czy ten węzeł pomyślnie się rozwikła, czy hr. Thun nie pozostanie cacanką, która żadnego zysku nie da, czy w sferach rządowych panuje szczera wola zmiany, czy też tylko chęć mydlenia oczu — na to trudno odpowiedzieć i odpowiedź taką czas przyniesie zapewne nieprędko. Jeżeli wszędzie tego rodzaju przekształcenia są trudne, to w Austryi należą do prac Herkulesowych. Niepodobna dotknąć stosunku jednej narodowości do państwa, ażeby natychmiast wszystkie im nie poruszyły. A ileż tego tam jest i jak splątane!

Bądź co bądź, czesi są na drodze poprawy swego położenia i osiągnięcia wyższego poziomu dla swego stanowiska. Cokolwiek zaś zyskają, tryumf ich będzie miał tylko jedno znaczenie: wzmocni siłę żywiołu słowiańskiego w Austryi. Niemiecko-madziarska spółka pęka i nie złatają jej żadne igły ministeryalne, żadne pajęczyny wywodów prasy najmickiej, żadne sejmowe deklamacye o „przywilejach wyższej kultury." Co żywe — żyje i żyć musi. Zrozumieć by to powinni zwłaszcza węgrzy, którzy pomimo niepodległości, mimo uprzywilejowanego stanowiska w państwie, mimo tych wszystkich dobrodziejstw, jakie narodowi dać może szczęście, martwieją i zamierają, nie mogąc bez użycia siły i ucisku wytrzymać cywilizacyjnego współzawodnictwa z ludami słowiańskimi. Ich opór przeciw królestwu czeskiemu jest przebudzeniem się instynktów dzikich, które pod oględą w nich ciągle drzemią. Złamie go czas, złamie go rozwój wypadków niewątpliwie — nie dziś, to jutro, lub niezadługo. Bo jest to moc, której

wszystko musi ustąpić z drogi — i władze ministeryalne, i uchwały parlamentów, i podkręcanie przy szczęku szabel wąsy.

Z ZA KULIS „WOLI LUDU."

Dzienniki całego świata trudnią się obecnie przepowiednią, jaki wynik będzie miała jutrzejsza walka wyborcza we Francyi. Jedne twierdzą, że wypadnie ona na korzyść Rzeczypospolitej i oportunistów: inne przewidują tryumf monarchistów; inne znowu przechylają się na stronę Boulangera. Wobec tych wróżb warto roztoczyć obraz agitacyi przedwyborczej we Francyi, skreślony w części przez znanego historyka cywilizacyi, Fryderyka Helwalda, w części zaś przez korespondentów pism niemieckich, ludzi, którzy oddawna siedzą nad Sekwaną, mimowoli zżyli się „z dziedzicznym wrogiem" i dlatego sądzą go bezstronnie.

Naprzód należy zaznaczyć, że w agitacyi tamtejszej hasła oraz programy stronnictw odgrywają mniej ważną rolę, aniżeli w innych państwach konstytucyjnych. Zasady, które mają być busolą w ruchu politycznym, tej lub owej partyi, są tylko dekoracyą, często bardzo ładną i nader olśniewającą, zasłoną dla rozmaitych osobistych dążeń, zachcianek, ambicyj wreszcie. W istocie rzeczy rozstrzygają tutaj czysto osobiste, oraz miejscowe potrzeby. Kandydata oceniają wyborcy nie ze względu na sztandar, pod którym on walczy, jeno ze względu na korzyści dla gminy lub okręgu, wypływające z powierzenia mu mandatu poselskiego.

Ale też poseł we Francyi posiada daleko większe znaczenie i daleko potężniejsze wpływy, aniżeli w każdym innym kraju. Jeżeli należy do stronnictwa rządowego, jest w swym okręgu wszechwładnym kacykiem. Tylko za jego pośrednictwem urzędnik z tego okręgu może uzyskać awans lub podwyższenie pensyi; od niego zależą wszelkie udogodnienia i dobrodziejstwa, czy to dla całego okręgu, czy to dla której z gminy, czy wreszcie dla jednego obywatela. Nikt nie może otrzymać posady, gdy poseł sprzeciwi się temu lub gdy nie poprze go u ministra. Prefekt i stróż nocny, prezes trybunału i zwyczajny woźny, rektor i tymczasowy pomocnik nauczyciela muszą prosić go o łaskawe polecenie do ministeryum. Nikt nie utrzyma się przy licytacyi na roboty rządowe, jeżeli nie cieszy się poparciem deputowanego. Zresztą wpływ ten sięga jeszcze dalej i jeszcze jest szkodliwszym. Już nietylko sam poseł rządzi wszechwładnie, lecz mogą rządzić najznakomitsi wyborcy, którzy w danym okręgu rozporządzając kilkudziesięciu głosami swych przyjaciół oraz krewnych, przyczynili się do zwycięztwa kandydata rządowego. Dla takiego jegomościa urzędnicy administracyjni muszą być niesłychanie uprzejmi i ulegli; dla niego nawet kodeks nie posiada znaczenia, gdyż żaden sędzia nie ośmieliłby się rozstrzygnąć sprawę na jego niekorzyść. Policyanci i celnicy, którzy schwytawszy wpływowego wyborcę na gorącym uczynku, ośmielą się złożyć o tem sprawozdanie do wyższej władzy, za karę są przenoszeni w odległe i smutne okolice kraju. Jeżeli występek jest za wielki i zbyt głośny, a sędzia musi skazać oskarżonego, to poseł wyrabia mu w Paryżu albo zupełne ułaskawienie, albo częściowy przynajmniej odpust kary.

Temu to wstawiennictwu posłów należy przypisać okoliczność, że zaległości podatkowe we Francyi są olbrzymie; skarb państwa i kasy gminne tracą co roku krocie tysięcy franków. Były minister finansów, Leon Say obliczył, że Rzeczpospolita przez pierwsze dziesięciolecie wskutek takiego postępowania poniosła uszczerbek na 60,000,000 fr. Nieraz już dzienniki opozycyjne pisały o wypadkach, że ten lub ów poseł zdołał uwolnić wpływowego wyborcę od zapłacenia 309—400,000 fr. zaległych podatków.

Poseł również powinien wyjednywać w Izbie budowę kolei, dróg, szkół za pieniądze rządowe. On również rozdziela zapomogi rządowe dla powodzian lub wsi, nawiedzonych zarazą bydła; w jego rękach spoczywają pieniądze, przeznaczone na zakłady dobroczynne, domy przytułku itp. Miesza się on nawet do spraw wojskowych; synom wyborców, służącym w szeregach, wyrabia urlopy, wyborców - rezerwistów uwalnia od ćwiczeń lub zupełnie od dalszych ciężarów służby wojskowej.

Rozumie się, że przed wyborcami pamięta jeszcze lepiej o swych krewnych. Dowiedziono faktami, że byli tacy posłowie, którzy całą swoją rodzinę zaopatrzyli w urzędy, zapomogi lub roboty z grosza publicznego. Bracia, synowie, szwagrowie, synowcy, siostrzeńcy, wujowie, kuzyni—wszystko to obsiadło kasę rządową danego okręgu, napychając gwałtownie swoje worki. Spieszyć się bowiem należy, gdyż za cztery lata może zjawić się inny, nowy poseł, który również musi zgłodniałych nakarmić i napoić spragnionych.

Ci wszyscy, popierani i obdarowani, tworzą klikę, która wszędzie i zawsze popiera nawzajem swego posła, a więc i swoje własne interesy. Jest to ze strony panów deputowanych plan bardzo przezornie obmyślony. Zresztą ów system protekcyjny oddawna zakorzenił się we Francyi; zrodził się bowiem już za Ludwika Filipa, a rozkwitł w całej okazałości za czasów Napoleona III. Dzisiejsza Rzeczpospolita odziedziczyła ów wrzód, zaogniony, po poprzednikach. Obecnie doszło do tego, że Izba poselska uchwala wiele wniosków, dążących wprost do pozyskania dla siebie przychylności wyborców. Najjaskrawiej występuje ta okoliczność przy wszystkich uchwałach budowy nowych szkół i nowych kolei za pieniądze rządowe. Ze względu na wyborców powiększono ilość małych urzędników administracyjnych, których pensye wynoszą atoli razem sumę 180,000,000 fr. Na ostatniej sesyi Izba, teraz już właśnie rozwiązana, ofiarowała 3,000,000 fr. na podwyższenie żołdu weteranów, 2,000,000 fr. na pokrycie szkód, zrządzonych przez grad, 4,000,000 fr. celem podniesienia pensyj nauczycieli ludowych, a to wszystko w nadziei, że wdzięczni weterani, wieśniacy i nauczyciele będą popierali kandydatów oportunistycznych. Do tego samego rodzaju uchwał należy wreszcie amnestya dla przestępców politycznych.

Takich środków do pozyskania zwycięztwa używają republikanie, jako większość, składająca rząd. Opozycya naśladuje ich, jak może i o ile może, a pierwsze miejsce dzierżą tutaj orleaniści, czerpiący zasiłek z kasy bogatego hrabiego Paryża.

Inaczej postępują bulanżyści. Ich zasadą bowiem jest, o ile możności najmocniej głosić dwie rzekome prawdy: dzisiejszy rząd

---

1)

JESIEŃ.

Rozżalonym i wątpiącym duchom szepcze dobre natchnienie przez słodkie i wonne usta niewidzialnych wróżek (gdy wieczór niesforne wrzaski życia uciszy):

„Przybliż nikły strumyk twego życia ku potokom wielkim a szumnym, które niosą ze swą falą miliony istnień, podobnych twemu. Gdy duszę ci napełnią echa ludzkich radości i smutków, olbrzymią się ona stanie i zapomni, iż pragnęła szczęścia dla siebie!"

Te same wróżki szepczą zmęczonym duchom w wieczorną godzinę:

„Czy nie słyszysz, jak koło ciebie płynie cichy prąd, z którego falą mięszają się istnień miliony? Lecz ztamtąd odgłos radosnych i smutnych krzyków dojdzie ucha twego, jako akord daleki i stłumiony, czasem tajemniczy, wzruszający i słodki! Pozwól naturze barwami oczy twe pieścić i słuch echami ukoić: dusza twoja stanie się wtedy tak spokojną, jak jeziorna toń w czas bezwietrzny"! — Czy na długo spokój taki, dobre wróżki — nie chcę pytać...

I.

Przestałem już liczyć dnie spędzone w tej ustroni. Las temu winien, gdyż śpiewa nieustannie jakąś senną kołysankę, która ubezwładnia mi myśli; czasem chcą się one zerwać i umknąć w niepokojem wrzące przestworza, lecz pieszczota słodkich dźwięków układa im skrzydła do spoczynku i pozwala tylko — marzyć.

Dzisiaj stało się to, com oddawna już czuł, że się zbliża: oto przybyła jesień. Jak cicho lecieć musiał ten powiew wiatru, który ją w nocy przyniósł, że snu mi nie spłoszył! nie głośniej od śmierci, gdy przybywa ostatni oddech z ust ludzkich wypić. Ten wiatr chłodny z ust lata go wypił!

Parę godzin brak było do południa, gdym z ganku ogarniając okiem niebo, polanę i las, odnajdywał na wszystkiem ślady nocnych gości. Niebo było blade i bezchmurne, tylko południowa jego strona, lekko omglona dokoła słońca, zbielała w świetle jaskrawem, i wzrokiem moim wywołany, z za lasu wypłynął na chwilę biały obłoczek, podobny do szczypty srebrzystego puchu, lecz szybko stopniał, nie zostawiając śladu. Wiatr przynosił zkądsić rzadkie, sinawe dymy, które unosiły się krótką chwilę przed lasem, a roztapiając się między drzewami, uwidoczniały w smugach promienie słoneczne, ukośnie kłujące zielone masy liści i ciemne pęki sosnowych igieł.

Po obydwóch stronach wązkiego, piaszczystego pasma drogi, przecinającej polanę, na przestrzeni, zastępującej dziedziniec i porosłej drobną trawką, rozlały się wielkie, szarożółte plamy. Barwa ta opowiadała o śmierci roślin. Była ona i pod opłotkami, we wszystkich miejscach nieocienionych.

Wnętrze lasu, przeglądające po za ścianą brzóz i dębów, wyciągniętą wzdłuż pasma drogi, wydało mi się czyścicjszem i pogłębionem, jak gdyby czyjaś ręka przerzedziła gęstwinę drobnych, nizkich zarośli, czy też tylko pootrząsała z nich wiele liści. Nieprzeliczone szeregi młodych sosenek wystąpiły wyraźnie z głębiny leśnej w masie cienkich, czarnych strychów, między którymi gdzie niegdzie tylko nizko rozsypane były migotliwe, szmaragdowe światła, drżące na liściach leszczyny. Z prawej strony kilka brzóz, wypchniętych przez iglaste zastępy w pierwsze szeregi, nizko opadającemi gałęźmi zasłaniało cały pożar szmaragdowych płomieni, a one, świecąc przez gęstwinę liści, udzielały im cudownie świeżej, jaskrawej, wiosennej barwy. Lekki a nieustanny powiew wiatru niepokoił liście, czyniąc z nich zasłonę utkaną z ruchomych, w drżenie wprawionych cząstek. Fale migotliwych błysków i srebrzystych iskier przelewały się po niej co chwila.

A po nad tem wszystkiem panował jeden szczyt drzewa, które w samym kącie polany kryło się do połowy między rozłożystymi dębami, strzegącymi z tej strony wejścia do niej. Szczyt ten był obcy wszystkiemu, co dokoła niego śmiało się letniemi, świeżemi barwami. Była to rozwiewna, wysoko nad wierzchy sosen i dębów wzniesiona kit

…publikański składa się ze złodziei; Boulanger jest wybawcą, który przyszedłszy do steru władzy, lotrów rozpędzi i zagoi wszystkie rany społeczeństwa. To też na żołdzie bulanżystów są całe gromady przekupniów ulicznych (camelots), którzy bądź to wykrzykują, bądź wyśpiewują nazwisko generała, równocześnie sprzedając dzienniki, broszury, obrazki i portrety. Bez względu na to, za ile sprzedadzą oni swego towaru, otrzymują codziennie stałe wynagrodzenie 2—3 fr. Dla nich to zapoznani poeci, również płatni z kasy pretendenta, układają piosnki o generale. Zresztą ci przekupnie nigdy nie krążą po ulicach sami, jeno zawsze w gromadach po 15—20 ludzi; wskutek tego mogą oni zakrzyczeć przeciwnika, a gdy potrzeba rozpędzić go użyciem kułaków lub kija. Pomagała im dawniej Liga patryotyczna, dzisiaj już nieistniejąca.

Zresztą kameloci znajdują się w całym kraju, wszędzie śpiewają, krzyczą, rozdają odezwy wyborcze na korzyść generała i jego stronników. Wskutek tego wszędzie i zawsze słychać tylko nazwisko „Boulanger,“ jak gdyby już innych kandydatów zupełnie nie było.

Ten sposób agitacyi dąży już nie do przekonania lub przeciągnięcia wyborców, lecz do ogłuszenia, do ogłupienia. Jest to droga niekiedy skuteczna— przykładem zwycięztwo Boulangera w Paryżu — lecz zawsze bardzo droga; zwycięztwo generała w departamencie du Nord kosztowało 600,000 fr., paryskie dwa razy tyle.

A nadto wynik wyborów zależy także od zręczności ministra spraw wewnętrznych, który w danej chwili dzierży w rękach ster władzy. Im jest to człowiek przebieglejszy, im energiczniej dogląda prefektów, im prędzej postara się, aby kasy podatkowe ściągały zaległe podatki od wyborców, należących do opozycyi, tem zwycięztwo pewniejsze. Za takiego właśnie „machera“ uchodzi Constans, obecny minister spraw wewnętrznych. Dowody swych zdolności w owym kierunku złożył już raz w 1881 r., kiedy również dzierżył tę samą tekę. Wówczas to bowiem dzień 21 sierpnia przyniósł republikanom 467 krzeseł; monarchiści zdołali utrzymać się jedynie przy 90; za pierwszymi oddano głosów 5,200,000, za drugimi jedynie 1,900,000.

Zdaje się, że i w tym roku p. Constans będzie umiał nastroić „wolę ludu“ według woli własnej i swych przyjaciół, którzy, mimo głoszonych haseł są bardzo niepodobni do ideału prawdziwego republikanina.

N.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Jednych zachwyciło, innym dostarczyło materyału do bardzo długich rozpraw proroctwo arcyksięcia Karola Ludwika, że pokój europejski jest na *dziesięć* lat *zapewniony*. Jak strasznie musiało się ludziom w głowach pomieszać i jak bezkrytycznie przyjmują oni byle frazes, przekonywa poważne rozmyślanie nad tą nowiną. Bo i na czemże książę austryacki ją opiera? Kto mu ją poręczył? Czy jest w świecie człowiek — naturalnie rozumny — który by mógł przewidzieć, co się stanie w ciągu lat dziesięciu? Tych prostych pytań nie zadają sobie filozofowie dziennikarscy i rozsmarowywują na papierze wiadomość, że pokój na lat dziesięć jest zapewniony.

Daleko ostrożniej wyraził się Gladstone na wyprawionej dlań uczcie w Paryżu. Według niego zniknąć wojna Europie nie grozi—można spać spokojnie, o ile na to zmory militaryzmu pozwalają. Odbywające się wszędzie manewry, próby z nowym prochem i nowymi przyrządami mordowania ludzi są delikatnym szumem fal morza, ale nie kołysaniem się ich przed burzą. O spokoju można mówić z tem większą słusznością, że przecie niezmordowanie pracują wysiłki ludzkie nad wynalezieniem prochu, któryby nie sprawiał huku...

Raz tylko — powiada Heine — wzburzył niemców Luter religią, ale ich szybko uspokoił Drake kartoflami. Świetna ta charakterystyka przypomina się dziś, gdy ich znowu Bismark wzburzył wieprzowiną. Nie tają tego nawet prawdomówne gazety niemieckie, że ich kanclerz prowadzi bardzo niesumienną grę z tym produktem żywności. Ile razy tego wymaga interes hodowców — do których on również należy, jako właściciel ogromnych dóbr ziemskich—wymyśla się jakąś chorobę trzody chlewnej w Rosyi i zamyka się granice dopóty, dopóki świnie swojskie nie zostaną po dobrych cenach sprzedane. Wygląda to na bajkę, wreszcie na sztuczkę możliwą w bardzo odległych czasach, a jednakże jest rzetelną prawdą. Naturalnie dotyka ona głównie ludność niezamożną i ubogą, żywiącą się mięsem wieprzowem. Obecnie ceny tego mięsa podskoczyły tak znacznie, że w prasie niezawisłej powstał krzyk, który zapewnie zmusi rząd do usunięcia... chorób z trzody chlewnej w Rosyi. Bo ostatecznie czemże się ma karmić biedny niemiec, jeśli mu wysokiemi cłami uniemożliwiono nabywanie chleba i okrasy?

Niezadowolenie, wywołane polityką Crispiego a podniecone wyprawą republikanów włoskich do Francyi, wyraziło się brutalnie w Neapolu: jakiś zapaleniec uderzył przejeżdżającego ministra kamieniem w głowę i zranił go ciężko. Chciano przestępcę zrobić waryatem, przedstawił się on jednak jako człowiek zdrów, tylko łaknący zemsty. Crispi dotąd chory, odebrał tysiące pozdrowień, gazety wszelkich stronnictw potępiły dziką napaść, ale z po za tego współczucia wygląda ostrzeżenie dla ministra włoskiego, że jego polityka, której nici spoczywają w Friedrichsruhe, coraz bardziej jego ziomków drażni. Nie jątrzy zaś ich sama strona moralna. Jak wszystkie na świecie masy ludzkie i włosi posiadają wielką czułość kieszeni i brzucha, a jedna i drugi, dzięki trójprzymierzu, opróżniają im się coraz dotkliwiej. Więc gniew wzrasta... Gdyby „przyjaciel“ z Friedrichsruhe przysłał chociaż codzień wagon „frutti di mare,“ może nikt nie cisnąłby kamieniem na Crispiego, ale platonizm głodu, długów i ciężarów wojskowych — nie zachwyca.

Zupełnie nie zwracając na to uwagi, że wierny syn Kościoła, arcyksiążę austryacki poręczył pokój na lat 10, papież ciągle prawi o wojnie, o swojem niebezpieczeństwie i zamiarze wyniesienia się z Rzymu. Bismark — o czem mocno wątpimy— miał go prosić przez Schlötzera, ażeby się uspokoił i nie wyjeżdżał, ale Leon XIII ciągle przygotowywa się do podróży. Tym sposobem cel osiąga: gazety ciągle o nim piszą.

Jutro tedy ma się rozstrzygnąć wielka walka wyborcza we Francyi, która stanowi o losach bulanżyzmu. W totalizatorze dziennikarskim Boulanger obstawiony słabo

---

brzozy, cała oblana krzyczącą, płomienną barwą. Każdy listek jej odbity był wyraźnie na bladem niebie. Podobną była do wielkiej, bez dymu płonącej pochodni, którą niewidzialna ręka trzymała nad polaną. Sygnał ten, smutny i samotny, wołał: „Jesień, jesień, jesień“!

...Szedłem leśną ścieżką zdziwiony blaskiem i obfitością świateł dokoła. Ziemia, usłana suchemi i żółtemi igłami, świeciła się tam nawet, gdzie rozpływały się po niej drżące, plamiste cienie. Ścieżka wyprowadziła mnie na drogę. Czarne, głęboko wyżłobione koleje posypane były liśćmi brzozich barwa żółta była tak świeżą, delikatną i nieco bladą, że zdawało mi się, iż w tem miejscu otrząśnięto listki z całych bukietów żółtej róży. Drzewa były nieruchome i liście nie drżały, słyszeć się tylko dawał gwar cichy i nieustanny, z coraz to nowych szmerów i szeptów złożony, zdradzający życie leśnych mieszkańców. Wysoko, u szczytu brzozy zachwiała się lekko gałązka: przerzedzone liście nie zasłaniały sójki, która się jej czepiła, chwiejąc czarnym ogonem, jak wachlarzem i kołysząc w podmuchach wiatru śnieżno białe piórka u obsady czarnych, niby białe, krótkie spódniczki. W gęstym pęku sosnowych igieł ukryta trzepotała się, opodal, druga sójka. Czyjś mały niewidzialny dzióbek plądrował niewidzialną szyszkę, a inny o coś stukał, szukając czegoś. Rzesza małych ptasząt przelatywała bez szumu z drzewa na drzewa, nawołując się cichemi: tsy, tsy. Nagle ze szczytu starej sosny dzięcioł zakrzyczał krótkim, urywanym głosem, w zaroślach przeraźliwie wrzasnęła sójka, kos wystraszony ze świstem, jak strzała, wyleciał z zarośli; coś dokoła latało, ukrywało się, trącało gałęźmi i liśćmi, i znów nagle wszystko ucichło, powróciły dawne szmery ciche i spokojne: odgłosy wytrwałej pracy niewidzialnego ptasiego drobiazgu i szepczące nawoływania: tsy, tsy.

Doszedłem do skraju lasu. Przedemną była obszerna równina, którą dawniej las pokrywał. Po prawej i lewej jej stronie widać trzy odpowiadające sobie i coraz to więcej oddalone występy lasu, które zdawały się być końcami trzech rozerwanych pierścieni. Wyglądało to tak, jak gdyby los usiłował równinę opasać i zamknąć, a ona wymykała mu się i rozlewając się coraz szerzej gładką powierzchnią pól i łąk pod widnokręgiem wolną się już zdawała. Tam, za jaskrawo bielejącemi pasmami ściernisk, majaczyły we mgle zarysy wsi; w niebieskawej kępie drzew białą plamką rozpływała się cerkiew. Lecz po za tem jeszcze, sięgając nizko nad widnokręgiem zgęszczonej mgły, biegło wązkie, nieprzerwano pasemko, bardziej sine, niż nawisłe nad niem chmurne pasma. Był to najdalej wysunięty łańcuch lasu: równina znajdowała się śród lasów.

Kilka ocalałych sosen, stojących samotnie, jak rozrzucone pod obozem placówki, strzegło równiny pod lasem; u stóp ich nawalone jedne na drugie piętrzyły się wielkie karcze sosnowych pni, podobne do kapiteli rozbitych kolumn. Usiadłem na jednym z nich, u podnóża wielkiej sosny, a cień jej leżał przedemną w całej długości, lekko łamiąc się na czerwieniejącej gliną roli. Na prawo, owsiane ściernisko, sięgające aż do kolistego wgłębienia lasu, rozlewało po ziemi płomieniste barwy; z lewej strony i w głębi, przedemną, zmieniały się kolejno pasma i płaty jasnoszarej roli z białawemi i jasnożółtemi ścierniskami.

Powietrze, w pobliżu i nizko, drżało lekko i falowało, burząc nieruchomość powierzchni i linij przedmiotów, za to w dalszym występie lasu, zaledwie osłoniętym bladoniebieską mgłą, drzewa przerzedzone na skraju rysowały się w spokojnej czystości linij. Ciszę mąciła jedna, gdzieś z boku, niespokojnie szeleszcząca gałęź brzozy; ludzkie życie zdradzał tylko kureń pastuchów, z prawej strony, pod lasem: ze szczytu jego spokojnie i wolno wypływały kłęby dymu, które niebieszczyły ciemne wgłębienia między drzewami.

Cień wielkiego ptaka szybko przemknął po ziemi i zlał się z cieniem mej sosny. Podniosłem głowę: ze szczytu drzewa zerwał się jastrząb i nie spiesząc się, ciężko robiąc skrzydłami, połyskującemi srebrem u spodu, zawrócił do lasu i wolno wpłynął między wierzchy sosen.

Zdaleka, od krańców równiny, raz — potem drugi, trzeci — odbił się w moim słuchu niewyraźny, milknący odgłos kościelnego dzwonu.

Ludzie święcili pierwszy dzień jesieni.

F. Brodowski.

Constans — liczniej. Prawdopodobnie ścigający się przylecą do trybuny tak równo, że żaden nie zwycięży. Pozostanie dawny zamęt i dawne okruchy najrozmaitszych stronnictw.

J. C. W. Następca tronu ruskiego uczestniczył w manewrach niemieckich, bardzo gościnnie przyjmowany i szczególnie odznaczony przez cesarza Wilhelma.

Prezes sejmu bułgarskiego Stojanow zmarł nagle w Paryżu.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WIEK OBŁUDY*).

I.

Dlaczego oskarżamy nasze stulecie o obłudę i czy to imię dane na chrzcie ojcu przez własne dzieci da się usprawiedliwić? Przecież odkąd świat istnieje, oszukiwano siebie i innych — trudno więc policzyć tę właściwość na rachunek wyłącznie naszego pokolenia. Zresztą człowiek, który pożera swego bliźniego jak tygrys, kąsa jak pies, pluje mu w twarz jak małpa, wala się w błocie jak wieprz — nie może nawet rościć sobie pretensyi do wyłącznego patentu na taki nędzny wynalazek. Nawet w tej „polityce" wyprzedziły go sprytniejsze od niego zwierzęta, od których — choć nie uwieczniają swej mądrości czernidłem — można się jeszcze dużo nauczyć. My, dwunożne, nieopierzone istoty, naśladowaliśmy tylko — z początku nawet bardzo niezręcznie — naszych protoplastów, mogących od początku swego planetarnego życia poszczycić się świętoszkami *sui generis*. Nie masz np. większego Machiawela obłudy, jak nasz kot, który z wrodzonej bystrości umysłu wykonywa od niepamiętnych czasów zasady florentyńskiego sekretarza Jego Królewskiej Mości. Wielki ten mistrz polityki uczy, „że nieprzyjacielowi trzeba pochlebiać, albo go zniszczyć" — otóż kot żyje z kretem i z psem w największej nieprzyjaźni. Pierwszego z nich tępi niemiłosiernie, dlatego, że jest słabszym od niego, natomiast z silniejszym od niego psem uważa za rozumne, bo konieczne, jadać razem z jednego talerza, jak czuła para małżeńska, a nawet sypiać na jego grzbiecie. Niejeden z tych pożałowania godnych nędzników, którzy swemu „wrogowi" bijąc obłudnie pokłony, czynią to z kwaśną miną i z takim widocznym wysiłkiem, że budzą w potężnym wrogu tylko wstręt — mogliby brać lekcye u kota w sztuce obłudy, zwanej *modus vivendi*. Co mówić o kocie, kiedy nawet owady posuwają udawanie do tego stopnia, że wcielają obłudę w swój drobny korpusik, naśladują ziemię, liście lub piasek kształtami i barwą w sposób niezrównany, albo przybierają wygląd innego zwierzątka, do złudzenia podobny, ażeby oszukać swego nieprzyjaciela albo zastawić na niego sidła. Przyrodnicy nazywają to w swoim szkolarskim języku *mineizmem*.

Lecz przejdźmy do człowieka i zapytajmy, kiedy urodził się między ludźmi pierwszy obłudnik? Zdawałoby się, że musiało tu być koniecznie dwoje ludzi: jeden oszust a drugi oszukany. Widzimy jednak przykłady, że człowiek sam siebie oszukuje. Gdyby szukać w pisanych świadectwach najstarszych śladów tej szatańskiej cnoty, to możnaby powiedzieć, że pierwszy grzech obłudy popełnili jeszcze w raju Adam i Ewa, gdy wstydząc się swej nagości, pokrywali członki swe liściem figowem. Wstydliwość ta była pierwszym początkiem kłamstwa, gdyż właściwym grzechem, którego nasi biblijni przodkowie wstydzić się mieli, był ten, że skosztowali zakazanego owocu. Cała psychologia obłudy leży właśnie w następującym historycznym romansie: Ewa pożądała zakazanych owoców, a przytem nie chciała być Bogu nieposłuszną, lecz obie rzeczy nie dały się z sobą połączyć, owszem oddalały się od siebie coraz bardziej, jak dwa ramiona ostrego kąta. Ewa tedy wynalazła przekątnię, godzącą oba kierunki pragnienia, ową przekątnię wszystkich późniejszych kłamstw, tj. robić co się komu podoba, ale ukrywając uczynki, zaspakajając swoje pragnienia, a grzechy pokrywać liściem figowym. Nie dość na tem — sprytna baba szuka sobie zaraz towarzysza, z którym mogłaby się podzielić grzechem, ciążącym na jej sumieniu i zniżyć go o pięćdziesiąt procent. Dzieli więc liść figowy i popełnia drugi grzech, mający pokryć pierwszy. Od tego czasu gdy się ogrojec Ewy podzielił na sto tysięcy ogródków życia ludzkiego, zaczęły się nieustanne przeskakiwania płotów i murów, przyczem jedna połowa rodzaju ludzkiego była ciągle zajęta oszukiwaniem drugiej. Wolny handel codziennemi — malemi i wielkiemi — kłamstwami, otoczony tylko eterem złudzeń, wciskającym się w wężowe zakręty życia towarzyskiego, praw i rodziny — oto potomstwo odwiecznej obłudy. Lecz jak daleko oddaliliśmy się od owej niewinnej obłudy matki Ewy, ledwieby można przebytą drogę zmierzyć porównaniem przedpotopowej siekiery naszych przodków w czwartorzędowej epoce z niszczącą mitralieżą stulecia pokoju zbrojnego. Dzisiaj liść obłudy jest misterną tkaniną, splecioną z tysiącznych, najdelikatniejszych nici, która zawsze wydaje się czemś innem, niż jest w istocie; gdy jest z bawełny wydaje się z jedwabiu, gdy ma kolor jednolity, wydaje się różnobarwną tkaniną, która w cudownej harmonii przedstawia się jako stugłowa, stujęzyczna, przygniatająca świat swem cielskiem — hydra obłudy. I który chemik mógłby dziś oddzielić prawdę od fałszu, który badacz z mikroskopem w ręku rozeznać naturę od sztuki, dziś, kiedy obłuda stała się atmosferą, którą oddychamy, w której się poruszamy i która, od najzewnętrzniejszej powierzchni naszej odzieży począwszy, przenika cały nasz organizm aż do najtajniejszej komórki mlecza pacierzowego. A nawet, gdyby cudem jakiejś sztuki odebrać nagle olbrzymiej rodzinie ludzkiej wszystko, co jest w niej i na niej obłudnem, to bylibyśmy blizcy śmierci przez uduszenie, jak ludzie pozbawieni powietrza atmosferycznego. Obłuda rośnie w prostym stosunku do naszej cywilizacyi; w krajach gdzie panuje siła, jest ona zbędną, lecz tam gdzie t. z. wolność powołuje do życia najsprzeczniejsze interesy osobników, porywy najróżnorodniejszych namiętności, gdzie krzewi się swobodnie idealizm obok dzikości, chucie obok prawa, mistycyzm obok zmysłowości, tam powstają owe nieskończone ugody i tranzakcye, tworzące jakąś sztuczną, chaotyczną rownowagę, której na imię — obłuda. I dlaczego mamy się skarżyć, gdy ona czuwa nad nami od kolebki i nie opuszcza nas aż do grobu, gdy nas ubiera, żywi i pieści, gdy nas usypia, abyśmy nie cierpieli, i zabawia, abyśmy się nie nudzili, gdy nam powiada, że jesteśmy wolni, dobrzy i szczęśliwi? Ona przecież stępia nam kolce życia, perfumuje błoto, rdzę pokrywa lakiem, a ściany walącej się świątyni podpiera murem — ona gorycze oblewa miodem, gorączki ochładza zimnymi okładami, a pazury kryje w rękawiczki; ona bluźnierstwa w frazesy, a zdradę w grzeczność oblecka, ona syfilis i rachitis i tysiączne zgnilizny tak fizyczne jak moralne dezinfekuje. Dlaczegóż nie mielibyśmy błogosławić tej miłosiernej kloaki, która brzydoty i ułomności ciała i jeszcze obrzydliwsze choroby duchy ukrywa w najgłębsze wnętrzności ziemi; jakże nie podziwiać jej obłudnego spisu błędów drukarskich, prostującego obrazę czci, leczącego opaczności zdrowego rozumu i ortografii, malującego siwe włosy starca na czarno, wygładzającego zmarszczki i bielącego policzki starej kokoty? Czego ona nie dokonała w swym dziejowym pochodzie! Na miejsce brutalnego prawa pięści postawiono za jej staraniem ołtarze sprawiedliwości, gładkiej, ochędożnej, karzącej surowo biedaka za kradzież popełnioną z głodu, a pozwalającą na kradzieże milionów, zrabowanych przyzwoicie i zręcznie. Dla tych, którzy posługują się w swem słusznem oburzeniu nożem, albo grożą pięściami, mamy osobne, dobrze strzeżone cele; ale łajdaków, tuczących się krwią i potem tysięcy pracowników, nie zamyka się pod klucz bezpieczeństwa, lecz dajemy im wolną kartę. Znieśliśmy karę śmierci, albo domagamy się tego usilnie, a zabijamy najspokojniej w świecie nieszczęśliwe ofiary ciemnoty i nędzy po cichu, albo mordujemy głośno tysiące dusz przy odgłosie muzyki i huku z dział.

A gdyby jeszcze jaka niesprawiedliwość ostała się wobec tego obłudnego porządku, to już na tamtym, lepszym świecie ujmą się bogowie za uciśnionymi, ukoją im bóle, zabliźnią rany, i oni, którzy tu byli ostatnimi, będą tam pierwszymi i oddany im będzie z lichwą, z procentami od procentów udział szczęścia, którego na ziemi nie zaznali. O! sprawiedliwa święta, boska obłudo, bądź pochwalona, ty i twoje dzieła...

Granice państwa obłudy są niepomierne i jak Proteusz ciągle się zmieniające; łatwiej ci będzie, czytelniku, narysować geograficzną mapę dawnej Rzeszy niemieckiej, albo archipelagu Mikronezyi, niż oznaczyć kraje należące do królestwa *Tartuffa*. Do cudów bowiem, czy czarodziejskich sztuczek, jakie ona codziennie płata z miną świętoszka, należy i ta, że się dotyka wszystkich biegunów natury ludzkiej, tak dobrego, jako też złego, zarówno śmiechu, jak i płaczu. Weźmy kilka przykładów. Współczucie z cierpieniem drugich każe nam mówić rzeczy, któreby można zaliczyć do kategoryi t. z. kłamstw z konieczności. Oto np, zapytuje biedny suchotnik, któregośmy od dość długiego czasu nie spotykali albo omijali, jak teraz wygląda, przytem wpatruje się z lękliwością w twoje oblicze. Cóż mu odpowiesz? Naturalnie jakieś pocieszające go kłamstwo. Zaczynasz być szlachetnie obłudnym.

Pod baldachimem obłudy biorą ślub nietylko prawda z kłamstwem, złe z dobrocią, ale także śmiech z powagą. Bo pytam się, czy nie jest to smutną śmiesznością „chcieć za coś uchodzić, czem się w istocie nie jest?" Jeżeli np. ułomny stara się zakryć swoje braki, albo chłop uchodzić za światowca i eleganta, jeżeli ktoś ujawnia temperament, którego nie posiada — wszyscy wystawiają się tylko na śmieszność, a mają to do zawdzięczenia przedewszystkiem kumoszce obłudzie. Krok od śmieszności do wzniosłości nie jest faktycznie tak bardzo mały, ale i takie skoki robi książątko *Tartuffe* z długiemi nogami. Jest ono panem całą gębą — od stóp do głowy. Umie kreciowe długi spłacać, nawet zahipotekowane, drobną monetą konwencyonalnych kłamstw. Na razie dość będzie wymienić kraje koronne, wchodzące w skład jego potężnej monarchii: obłuda ciała, obłuda myśli, obłuda serca, wielka społeczna obłuda.

(D. n.).

H. Biegeleisen.

*) Z najnowszej trylogii Pawła Mantegazza zatytułowanej: „Wiek obłudy," „Wiek nerwowy" i „Wiek zwątpienia.

ZJAZD PRAWNICZY WE LWOWIE.

Drugi dopiero zjazd prawników i ekonomistów polskich we Lwowie nie zapewnia jeszcze, czy podjęta niedawno myśl takich stałych zebrań nie ostudzi owego gorąca w znanem naszem słabnięciu energii rozpo-

startej na dłuższy przeciąg czasu, ale nie zdradza jeszcze zniechęcenia. Wprawdzie już objawiły się dąsy, osobiste urazki i niechęci, zwłaszcza na samym gruncie obrad, ale nie miały one widocznego wpływu na ten wiec naukowy.

Zebrało się nań uczestników wielu (około 400) — a Warszawa przysłała zastęp dość liczny i czynny. Po wybraniu prezesem honorowym Fr. Smolki, rozdzieleniu się na sekcye i uroczystem powitaniu Supińskiego, przystąpiono do rzeczy. P. Skarzyński przedstawił stosunki własności ziemskiej, jej dzieje z ostatniej epoki i losy w W. K. Poznańskiem. Było w tym wykładzie wiele sumiennie zebranego i umiejętnie zużytkowanego materyału, który między innymi wnioskami miał dowieść, że większa własność ziemska przed założeniem komisyi kolonizacyjnej częściej, niż teraz, wymykała się z rąk polskich, tylko że obecnie szerzej na ten proces otworzyliśmy oczy; własność zaś drobna, pozostająca w ręku włościan, była i jest mocno przez nich trzymana. Może p. Sk. w szczegółach sprostował panujące zapatrywania, ale nie zmienił ich w punktach głównych, mianowicie, że szlachcic ciągle ziemię niemcom wyprzedaje, a chłop jej wszelkiemi siłami broni.

Pp. Edm. Krzymuski i Piotr Stebelski wystąpili przeciwko instytucyi sądów przysięgłych, jako nieodpowiadających swojemu zadaniu, zalecając mieszane (państwowo-przedstawicielskie). Od pewnego czasu instytucyę tę spotyka to, co jej rodzonego brata — parlamentaryzm: dostaje ona chłostę nietylko z ręki wsteczników, ale i postępowców. Nie ulega wątpliwości, że się popsuła; czy jednakże trzeba tu w stare wory nalać młodego wina, czy je zniszczyć— nad tem warto zastanowić się dłużej, niż trwały obrady zjazdu lwowskiego.

P. Milewski przemawiał za ograniczeniem prawa równego dziedziczenia własności ziemskiej, a przeciw ograniczeniu — Wayhinger, obaj zaś popierali swe założenia względami ekonomicznymi. Że obu doskonale obsłużyła statystyka — ten las, który tak echem odpowie, jak w niego krzykniesz — zapewniać nie potrzebujemy. P. Konitz (z Warszawy) rozbierał możliwą gminę galicyjską, a p. Spasowicz przedstawił ruską. Wykład ostatniego był czysto informacyjny.

Dalej rozprawiano o potrzebie reformy obecnego systemu środków karnych (Rosenblatt), o dowodzie z przysięgi (Boduszyński), o przemyśle naftowym w Galicyi i innych kwestyach, których najkrótsze streszczenie nie pomieściłoby się w ramach tego pisma i które swą treścią specyalną często daleko wychodzą po za jego program. Zapisać tu jeszcze winniśmy jeden szczegół. Przemawiał również p. Szczepanowski, autor głośnej książki *Nędza w Galicyi*, o potrzebie utworzenia w ekonomice szkoły polskiej. Po umyśle bardzo trzeźwym, realnym, krytycznym spodziewano się odpowiedniego wykładu. Tymczasem wysłuchano bardzo fantastycznej improwizacyi, która we wspomnieniach uczestników Zjazdu szybko jak mgła się rozwieje.

Organom specyalnym pozostawiamy pilniejsze zastanowienie się nad wynikami tego wiecu naukowego. Oceniając go zaś ogólnie i pomijając całą jego stronę balową, przyznać musimy, że był objawem nader sympatycznym i pocieszającym, bo dowodem życia umysłowego i poważnej pracy naukowej. Czy — jak zauważył jeden z mówców — rozpuściwszy szeroko skrzydła narad, przedstawiał wyższość nad podobnemi zebraniami niemieckiemi, które zamykają się w ciasnych granicach swojskości — to inne pytanie, nad którem zastanawiać się nie będziemy, bo taki lub inny wniosek z porównania posiada bardzo małą wagę. Więcej warto każdo nasze podobieństwo do mrówek, niż do pawiów.

H.

LISTY PETERSBURSKIE.

Petersburg, 12 września.

Historya kościoła św. Katarzyny, jego majątku i urządzeń.

Wkrótce po założeniu nadnewskiej stolicy został wydany Ukaz (2 grudnia 1723 r.), ażeby dla katolików, których w liczbie innych wyznań Piotr Wielki sprowadzał z obcych państw, wzywano duchownych tylko francuzów, a po kilku miesiącach oznaczono i liczbę księży, mianowicie—czterech.

Można przypuszczać, że nabożeństwo odprawiano w prywatnym domu, zamienionym na kaplicę, gdyż 11 sierpnia 1739 r. Cesarzowa Anna Joanówna nadała plac pod budowę świątyni parafialnej, którą zaczęto wznosić z ofiar i składek *).

Za panowania Katarzyny II katolicy podają prośbę o nadanie kościołowi regulaminu, przyczem uskarżają się, że wysyłani z Rzymu kapłani, zwykle włosi, ani miejscowych zwyczajów, ani języka większości parafian—niemców, francuzów i polaków—nie znają, że na pretensye swych wyznawców nie zwracają uwagi, obciążają mienie kościelne długami, a zdarza się, że przeorowie, zabrawszy sumy parafialne, cichaczem wynoszą się za granicę.

Skutkiem takich zażaleń, Ukaz 12 listopada 1766 r. postanawia, ażeby na przyszłość duchownych— franciszkanów—sprowadzano tylko z Niemiec i ażeby im wytłomaczono, że fundusz i majątek kościelny należą do parafian: „albowiem parafianie sami z własnych funduszów, bez żadnej pomocy wszystko zbudowali.“ Wkrótce potem (12 lutego 1769 r.) ogłoszono regulamin. Przejrzmy niektóre ważniejsze punkta.

§ 1. Ponieważ mieszkańcy wyznania rzymsko-katolickiego w Petersburgu należą do czterech narodowości, przeto duchowni ich powinni znać odpowiednie języki — niemiecki, francuski, włoski i polski — a przynajmniej więcej, aniżeli jeden.

§ 3. Zamiast czterech duchownych pozwala się utrzymywać sześciu, z których jeden ma być przeorem.

§ 9. Przeor powinien baczyć, ażeby bez jego i całej parafii woli, oprócz istniejących przy kościele duchownych, inni w sprawy kościelne nie wglądali.

§ 21. Kollegium wyznacza dzień, za wspólną zgodą parafian, na obiór syndyków kościelnych.

§ 22. Z każdej narodowości ma być obranych po 2 syndyków, ażeby przez nieobecność lub chorobę jednego zarząd w niczem nie ucierpiał.

§ 23. Każda narodowość przedstawi czterech kandydatów do wyboru syndyków.

§ 25. Wybrani syndycy są pomocnikami przeora w jego pracach gospodarczo-ekonomicznych dla dobra kościoła, a powinni działać jako przedstawiciele parafian, pełniąc powierzone obowiązki w ciągu trzech lat.

§ 26. Wszystkie dochody, którymi zarządza przeor i syndycy, uważać należy za dobro kościelne, będące własnością samego kościoła, ale nie osób duchownych.

§ 28 obowiązuje parafian utrzymywać księży przyzwoicie, z należnemi wygodami.

§§ 29—33 określają obowiązki syndyków: sporządzenie spisu majętności kościelnych, załatwienie sporów, przejrzenie dokumentów, doglądanie zaczętej budowy, spłacenie długów itp. „Zająć się tem mają syndycy, ażeby nie odrywać przeora od jego obowiązków duchownych.“

§ 35. Parafianie powinni starać się, ażeby kościół i całe jego mienie utrzymywane były w porządku.

§ 36. „Przeorowi, syndykom i parafianom Najmiłościwiej pozwalamy założyć przy kościele najodpowiedniejszą szkołę, w którejby młodzież rzymskiego a nie innego wyznania mogła się uczyć stosownych nauk.“

§ 37 nakazuje syndykom po trzech latach zdać szczegółowy rachunek z zarządu wszystkim parafianom, „ażeby ci mogli widzieć cały stan wydatków kościelnych.“

§ 40. Dla rewizyi tych rachunków mogą parafianie z liczby swych członków wybierać kogo się im podoba, z dodaniem biegłego buchhaltera... na wszelkie uwagi rewidujących syndycy powinni przedstawiać należyte wyjaśnienia.

W czternaście lat po nadaniu regulaminu wykończono budowę kościoła i poświęcono go (7 października 1783 r.). Przy budowie znaczny udział przyjmował mistrz ceremonii dworu Katarzyny II, hr. de Sante, co spowodowało, że częstokroć wspominają o nim jako o kolatorze; rzecz jasna — jest to nieporozumienie, albowiem Ukaz wyraźnie powiada, że kościół wznieśli parafianie bez czyjejkolwiek pomocy.

Zauważmy, że przy ufundowaniu mohylowskiego rzymsko-katolickiego arcybiskupstwa (1782 r.) w Ukazie z 17 stycznia regulamin 1769 r. został potwierdzony; wspomnijmy o tem jako o rzeczy mającej donioślejsze znaczenie, gdyż na owym regulaminie oparte są prawa wielu parafij w Cesarstwie. W zbiorze praw z 1649 r., wydanem 1830 r. (część I. tom XI art. 124) znajdujemy:

„We wszystkich szczegółach zarządu majętnościami kościelnemi, w tych mianowicie miejscowościach, które nie mają wyraźnych przepisów, proboszczowie powinni zarządzać według... ustawy dla zarządzania majątkiem petersburskiego kościoła św. Katarzyny...“

Po utwierdzeniu metropolii mohylowskiej na arcybiskupa został powołany ks. Bohusz-Siestrzeńcewicz. W kilka lat potem przybył do Petersburga słynny w swym czasie jezuita Gruber. Metropolita niechętnem okiem spoglądał na zakonnika rozszerzającego swój wpływ... Zaczęły się zatargi. Zwyciężył podobno Gruber, gdyż zakon Lojoli usadowił się w stolicy na stałe. 18 października 1800 r. gubernator wojenny generał Swieczyn zawiadomił arcybiskupa, że z woli Najwyższej zarządzający dotąd syndycy kościół i majątek jego powinni oddać jezuitom *w zupełne ich posiadanie.*

Jednak parafianie widocznie czynili zabiegi o zatrzymanie majątku, gdyż 11 maja 1801 r. Cesarz Aleksander I wydał Ukaz, w którym zaznaczono, że na mocy polubownej ugody między parafianami i duchowieństwem, przywilej reskryptu 1769 r. zatwierdza się. Zaszły jednak pewne zmiany, albowiem chociaż prawo własności zostało przywrócone parafianom, jezuici zostali jedynymi zarządcami dochodów, z obowiązkiem „składania corocznie sprawozdań ze swego zarządu wybranym z łona parafian członkom.“

Zakon rządził kościołem do 20 grudnia 1815 r., to jest do czasu usunięcia go ze stolicy, poczem kościołowi św. Katarzyny przywrócono dawne przywileje. Do odprawiania nabożeństwa i zarządu majątkiem kościoła zawezwano dominikanów.

Musimy oddać słuszność wyznawcom Lojoli, że za cały czas swych rządów nie marnowali społecznego grosza i dbali o szkołę. W 1801 r. kupili kawał ziemi, zbudowali na niej dom, zebrali znaczną bibliotekę, urządzili gabinet fizyczny, a robili to wszystko bez udziału wiernych. Po ich wydaleniu cały majątek przeszedł na własność parafii. W Ukazie 25 maja 1816 r. czytamy: Dom pojezuicki przeznaczyć na zakład dobroczynny, a zapłacone za ziemię 20 tysięcy rubli zwrócić kościołowi. Dom letni (willa) pojezuicki oddać kościołowi na zakład dobroczynny. Książki zwrócić cesarskiej bibliotece publicznej i innym właścicielom, a pozostałe, oraz przyrządy fizyczne i matematyczne oddać szkole, a jeśli nie wszystkie będą potrzebne — niech je przechowuje...

Od przyjazdu dominikanów znowu zaczynają się z parafianami zatargi. Pierwszy przeor klasztoru — Sokulski, wbrew regulaminowi 1769 r. został zawezwany przez metropolitę, a nie wybrany z pośród duchownych miejscowych. Syndycy wystąpili ze skargą do kolegium rzymsko-katolickiego lecz im dano odpowiedź, że prawo, służące parafianom zostało zniesione. Natenczas syndycy (Zejer, Pałoński i d'An-

*) Znajdujemy wzmiankę, że w r. 1706 holender von Han podarował katolickiej parafii kawał własnego gruntu. Cesarzowa Anna, pozwalając wznosić świątynię, zapewne zatwierdziła prawo do niego kawała ziemi.

dré) udali się z prośbą do ministra wyznań i oświaty, ks. Golicyna (1822 r.),

Po roztrząśnieniu sprawy, Aleksander I (13 sierpnia 1823 r.). wydał Najwyższy reskrypt na imię metropolity Bohusza-Siestrzeńcewicza. Co do syndykatu ów przepis w streszczeniu brzmi następnie:

„Z powodu powstałej niepewności, kto powinien wybierać proboszcza i zarządzać majątkiem... kościoła św. Katarzyny... rozkazuję, aby do czasu wydania Ukazu, rządzono się według następujących prawideł:

§ 1—2. Przeora wybiera stowarzyszenie zakonników. Przyczem z pośród ich grona i za wspólną zgodą, przeor mianuje wice-proboszcza, czy też zastępcę swojego na trzy lata.

§ 2. Z pośród parafian poddanych rosyjskich bez różnicy narodowości proboszcz, wspólnie z resztą duchownych, wyznacza czterech kandydatów znanych ze swych zalet, pobożności i gorliwości; z nich parafianie wybierają dwóch syndyków na trzy lata.

§. 5 Proboszcz i trzej pomocnicy dbają o utrzymanie w porządku gmachów kościelnych, szkoły i świątyni; przewyżki, po pokryciu wydatków, nie trwonić, lecz obracać ją na cele dobroczynne.

§ 6—7. Syndycy obowiązani co wiosnę opatrzyć budynki i dokonywać naprawy. Mieszkania oddawać po cenie jaknajkorzystniejszej.

§ 9. Sprawy sądowe winni prowadzić syndycy.

§ 10—11. Proboszcz i syndycy przyjmują kościelne składki, dary i testamentowe zapisy. Codzienne nieznaczne sumy dochodów może przyjmować, podług okoliczności, sam proboszcz, lecz powinien prowadzić ścisły rachunek,..

§ 12. „Sumy kościelne, które mają byc rozumiane jako należące do parafian, należy używać według ich woli i żądań, są one pod opieką praw państwowych.“

§ 16. Dla składek *jura stolea* mają być zaprowadzone osobne księgi, dokąd zapisywać najszczegółowiej wszystkie wpływające pieniądze, a także i wydatki.

§ 17. W zarządzie gospodarczą i kościelną majętnością proboszcz z wice-proboszczem i syndykami corok przedstawia sprawozdanie władzy duchownej, a o sumach dochodów kościelnych, użytych na utrzymanie kapłanów, proboszcz, według ustawy klasztornej, składa sprawozdanie miejscowym zakonnikom.“

Na zasadach tej *czasowej* ustawy duchowni usunęli parafian od zarządu i kontroli, wybierając kandydatów na syndyków osoby przychylne sobie, lub obojętne na wszelkie publiczne sprawy; gdy w 1884 roku, z powodu zatargów parafian z zarządem, Izba cywilna w Petersburgu, wyświetliła, że ustawa 1823 r. żadnego z punktów regulaminu 1769 r. nie skasowała, a nadomiar uznała parafian właścicielami majątku (punkt 12); więc wybranym z jej łona członkom przysługuje prawo kontrolowania działań zarządu.

Na tej osnowie sam zarząd kościoła wypracował i przedstawił metropolicie projekt o prawach komisyi rewizyjnej i o porządku jej działań, prosząc o zatwierdzenie; lecz dzięki zabiegom pobożnych ludzi skończyło się wszystko... nic się nie skończyło: wszystko trwa w zawieszeniu.

Z tego cośmy pobieżnie skreślili, widzimy w historyi kościoła następujące okresy:

1) Rządy włoskich księży z użyciem grosza na swój własny użytek — i bez żadnego współudziału parafian.

2) Rządy oo. franciszkanów rozmaitych narodowości z udziałem syndykatu. Pieniądze idą na budowę kościoła.

3) Rządy księży jezuitów bez udziału parafian. Dochody są użyte na kupno ziemi, budowę domu i willi, na szkołę, bibliotekę itp.

4) Rządy oo. dominikanów z nominalnym udziałem syndykatu. Pieniądze wydają się na powiększenie i utrzymanie domu, na szkoły męzką i żeńską i na inne potrzeby.

Taką jest historya kościoła św. Katarzyny ze stanowiska prawnego. W następnych listach postaramy się zajrzeć do wnętrza zarządu i zbadać przyczyny niesnask. Uprzedzam czytelnika, że straconego czasu nie pożałujemy.

N. B.

SPRAWY EKONOMICZNE.

ŚRODKI UREGULOWANIA HANDLU ZBOŻOWEGO.

Z nadejściem jesieni zaczyna trapić rolników zwykła zmora — ceny zboża, a raczej niestałość ich, rujnująca wytwórców. Pominąwszy poboczne, nadzwyczajne wpływy, ujrzymy taki stan rzeczy: po żniwach zwiększa się podaż zboża proponowanego przez wytwórców, zmuszonych do wyślizgiwania się z pod wiecznie dławiącego ciężaru w postaci rozmaitych rat, podatków i innych długów nagromadzonych podczas zimy. Skutkiem tego ceny tak się kurczą, że suma ze sprzedanego ziarna ledwie może pokryć koszty produkcyi. Następnie po zbyciu zboża ceny jego gwałtownie się rozdymają i dochodzą do nieproporcyonalnych rozmiarów, szczególnie w latach średniego urodzaju, kiedy rolnicy nie mogą zostawiać zapasów, lecz wszystko, co wytworzyli, sprzedają w jesieni. Przed wiosną muszą nabywać po wysokich cenach to samo zboże, które sprzedali w jesieni za bezcen. To są główne powody przewlekłej ruiny nawet w tych prowincyach, gdzie jakość ziemi nie wymaga wielkich nakładów. Chcąc zapobiedz złemu należałoby wynaleźć środki regulujące ceny produktów rolnych. Dotychczas w tym kierunku zrobiono bardzo niewiele. Jedna z instytucyj rolniczych radzi przyjmować wszelkie podatki ziemskie w zbożu a nie w pieniądzach. Inna znowu zajęta jest obecnie opracowaniem projektu urządzania składów zbożowych, do których przyjmowanoby ziarno, wydając w zamian gotówką zaliczki w pewnym stosunku do ilości produktu złożonego w celu, iżby po sprzedaniu właściciel zboża mógł za nie otrzymać resztę sumy z potrąceniem procentu na rzecz przedsiębiorstwa. W roku przeszłym na południu państwa utworzono specyalną komisyę w celu uregulowania handlu zbożowego. Radcowie ci przyszli do wniosku, że najlepszym środkiem będzie urządzenie elewatorów w Odesie i innych punktach handlu zbożowego. Rezultatem narad było zajęcie się zbadaniem warunków tego handlu. Jaki będzie skutek, jeszcze nie wiadomo. Można jednak przypuszczać, że komisya nie ograniczy się na propozycyi budowania elewatorów. Jest to środek, który przy naszej kulturze i stanie rolnictwa nie może być w zupełności odpowiednim. Elewatory wywrą pewien wpływ na handel zewnętrzny, podwyższą trochę ceny zboża*), ale wewnętrzny porządek rzeczy, szczególnie w prowincyach upośledzonych pod względem komunikacyjnym, pozostanie i nadal ten sam, co dotąd. Tego rodzaju składy zbożowe mogą powstać tylko w głównych punktach kraju, a zatem ze względu na odległość od nich wielu mieszkowości rolniczych, wytwórcy, jak dotąd, będą musieli sprzedawać w jesieni zboże pośrednikom za bezcen, a przed wiosną nabywać je za cenę wysoką. Nie naszą rzeczą jest tworzyć w tym względzie projekty i kosztorysy, ale sądzimy, że sprawa powyższa jedynie wtedy mogłaby wziąć pożądany obrót, gdyby komisya pracująca nad środkami zaradczymi, wynalazła sposób łatwego zdobycia funduszów na zbudowanie elewatorów w takiej liczbie i stosunku do przestrzeni, iżby żaden najzapadlejszy kąt kraju nie był pokrzywdzonym. Zbawienne skutki takich składów dadzą się dziś w przybliżeniu obliczyć. Po żniwach i wymłóceniu, rolnik umieszczający swój produkt w składzie, otrzymuje pewną część wartości zboża i pokwitowanie, świadczące o ilości ziarnia. Tymczasem otrzymana suma wystarczy na najniezbędniejsze potrzeby. Skład zaś może wyczekiwać odpowiedniej chwili, kiedy mu się uda sprzedać zboże korzystnie. Wtedy właściciel otrzyma resztę sumy i użyje jej na wzmożenie środków produkcyi. W tej postaci składy zbożowe stałyby się nowemi instytucyami kredytowemi, o tyle różniącemi się od obecnych, że byłyby najprzystępniejsze i... nie rujnujące rolników. Sprawa elewatorów w szerszym zakresie tak się dzisiaj przedstawia: Niedawno kilku przedsiębiorców przesłało do ministeryum skarbu projekt utworzenia jednego wszechrosyjskiego towarzystwa budowania elewatorów na wszystkich drogach żelaznych, w punktach najważniejszych. Przedsiębiorcy kładli głównie nacisk na konieczność oddania tego interesu w ręce jednego towarzystwa, które mogłoby odrazu wybudować potrzebną liczbę składów. Kosztorys tych robót obejmował 100 milionów rubli. Projektodawcy nie żądali gwarancyi rządowej na włożone kapitały, jak również byli przeciwnikami robót na podstawach koncesyj. Starali się głównie otrzymać pozwolenie wywłaszczania gruntu pod elewatory, tudzież żądali przyznania im pewnego procentu od składających zboże. Wypuszczanie obligacyj uznano za niewłaściwe, natomiast radzono podział akcyj na dwie klasy. Według projektu elewatory miały być trojakiego rodzaju: portowe, specyalne składy w niewielkiej odległości od portów i stacyjne — w miejscach krzyżujących się dróg i na stacyach głównych. Nadto projektodawcy uważali za niezbędne posiadanie własnych wagonów. Ministeryum skarbu nie zgodziło się jednak na oddanie całego przedsiębiorstwa w ręce jednego towarzystwa, natomiast wyraziło życzenie objęcia tej sprawy przez kilka pomniejszych grup na zasadzie ustawy o składach towarowych, z tem iżby w przepisach oddzielnych elewatorów było przewidziane przejęcie ich w ręce rządu; wogóle wymagane jest największe zabezpieczenie interesów jednostek, korzystających z usług elewatorów.

W chwili gdy to piszemy sprawa składów zbożowych zaczyna się wykluwać w określonej formie. W tych dniach *Prawit. Wiest.* podał Najwyższe postanowienie o urządzeniu elewatorów — w Odesie i na dziewięciu stacyach kolei Południowo-Zachodnich: w Krzyżopolu, Nowoukraince, Pyrlicy, Rożyszczu, Połonnem, Czukówce, Proskurowie, Popielni i Skinosach. Projekty przedstawił zarząd dróg Południowo-Zachodnich; rząd zaś zastrzegł sobie prawo wykupu elewatorów, o ile uzna to za stosowne, za taką sumę, jaką koleje rzeczone wydadzą na budowę. W razie przejścia na rzecz skarbu dróg powyższych, elewatory przejdą również do skarbu. Koleje na budowę składów mogą użyć funduszów z kasy emerytalnej urzędników i oficyalistów kolejowych w wysokości do rs. 675,000. Suma ta będzie spłacona kasie drogą amortyzacyjną w ciągu 12-tu lat z procentem po 5³/₄%. Pewność zwrotu pożyczki zarząd kolei gwarantuje wszystkimi dochodami z eksploatacyi. *Maximum* opłat oznaczono w następującym stosunku: w Odesie: za wyładowanie do składu 0·25 kop. od puda, wagowe — 0·2 kop., za przechowanie przez miesiąc 0·33 kop.; jeśli przewietrzanie nastąpić musi więcej niż dwa razy na miesiąc, to za każdy raz 0·15 kop. Najmniejsza opłata liczy się za pół miesiąca, chociażby zboże nie leżało tak długo w spichrzu. Następnie za wagę przy wydawaniu 0·15 kop. za oczyszczenie zboża (na żądanie) 0·24 kop. Ogółem wszystkie opłaty za przyjęcie, utrzymywanie przez miesiąc i wydanie puda zboża wynoszą 2 kop. od puda. W elewatorach na pośrednich stacyach za przyjęcie zboża do składu i wysłanie go do miejsca przeznaczenia, pobierać się będzie po 2 rs.

*) Elewatory o tyle mogą wpłynąć korzystnie na handel zewnętrzny, że zboże nie będzie, jak dotąd, gnić na stacyach kolejowych (na cośmy dawniej zwracali już uwagę) i iść za bezcen na rynki zagraniczne. W kraju zaś środek ten usunie pośredniczących spekulantów i zmniejszy koszty dostawy.

od wagonu. Normy te mogą być zniżone według uznania ministra komunikacyi, zaś podwyższone mogą być tylko o $^{1}/_{4}$ kop. i to na określony przeciąg czasu.

Dotąd bądź wybudowane bądź projektowane elewatory mają służyć interesom większych wytwórców. Niedawno zaś Towarzystwo rolnicze w Moskwie zwróciło uwagę na potrzebę udogodnień niezbędnych dla włościan. Pobór podatków, następujący wkrótce po żniwach niewątpliwie oddziaływa na zniżkę cen zboża włościańskiego, a przez to pośrednio na ogólne ceny tego produktu. Ze względu na to Towarzystwo powyższe czyni starania, aby podatki od włościan były pobierane w takim czasie, kiedy na rynkach ceny produktów rolnych są korzystne dla wytwórców. Zmiana terminów opłacania podatków w istocie może wpłynąć dodatnio na interesy ludności siermiężnej, nie będzie jednak dostatecznym środkiem uregulowania cen jej produktów. Itu przydałyby się składy z wydawaniem zaliczeń, z tą wszakże różnicą, że oprócz zboża powinnyby one wziąć w opiekę wszelkie wyroby włościańskie.

Drogomir.

W SPRAWIE TARYF KOLEJOWYCH.

Jak wiadomo, w marcu r. b. wydane zostało prawo, nakazujące zarządom akcyjnych towarzystw dróg żelaznych przedstawiać taryfę przewozową do zatwierdzenia odnośnej rady przy ministeryum finansów. Środek ten, w zasadzie nader słuszny, miał na celu przeciwdziałanie samowoli i wyzyskiwaniu społeczeństwa przez łakomych akcyonaryuszów. Był on zaś tem konieczniejszy, że w Rosyi, wobec małego rozpowszechnienia kolei żelaznych, bardziej niż gdzieindziej, stanowią one monopol komunikacyjny.

Rozporządzenie atoli p. ministra spotkało się z mniej lub bardziej twardą opozycyą zarządów kolejowych. Nie wykonywały one nowego prawa i albo zbywały milczeniem przypomnienia rządu, albo też, jak się to zdarzyło z koleją Kursko-Kijowską, oskarżyły postanowienie zwierzchnika. Wobec tego p. minister finansów zażądał od komitetu ministrów pomocy, i to w formie rozporządzenia na zasadzie którego, w razie, jeśli zarząd kolei w oznaczonym terminie projektu nie nadeśle, ministeryum będzie posiadało prawo ułożyć samoistnie obowiązującą taryfę. Po nader ożywionych rozprawach komitet ministrów przychylił się do żądań p. Wyszniegradzkiego.

Społeczeństwo, częstokrotnie przez zarządy kolejowe krzywdzone, z uznaniem przyjęło ten energiczny objaw interwencyi państwowej.

Robiono zarzut władzy, że drogą taryfy różniczkowej zamierza spętać wolność ruchów przemysłu wewnętrznego i, po zabiciu współzawodnictwa zagranicznego, niweczyć jeszcze, jedyną pobudkę doskonalenia się wytworów — współzawodnictwo wzajemne zakładów przemysłowych rozmaitych części państwa.

Byłoby to oczywiście zupełnie błędnem zrozumieniem zadania interwencyi państwowej w sprawie taryf kolejowych. Sądzimy jednak, że zarządy kolejowe, podając rozumowane projekty, poparte jeszcze przez instytucye przemysłowe, *słuszne* żądania przeprowadzić w Petersburgu zdołają.

A. R—t.

BADANIA NAUKOWE.

LISTY Z WYSTAWY PARYSKIEJ.

VI.

Wystawa ekonomii społecznej.— Bogactwo treści.— Niejednakowa wartość różnych części. — Literatura ekonomiczna. — Oddział przedsiębiorstw udziałowych i stowarzyszeń kooperacyjnych.— Oddział samo-zabawy i samo-kształcenia. — Ogólny charakter wystawy ekonomicznej.

Wystawę ekonomii społecznej wraz z hygieniczną umieszczono obok siebie, przy głównem wejściu na plac Inwalidów. W rzeczywistości należałoby tutaj zaliczyć jeszcze jeden z pawilonów municypalności paryskiej, jako wzór samorządu miejskiego i ognisko całego szeregu reform i zamiarów społecznych.

Dział ekonomiczno-społeczny, przyznajemy to otwarcie, jest jedną z najmudniejszych części wystawy—naturalnie dla zwykłych widzów. Przedmiotów do gapienia się brak, a jeżeli są, tedy nadzwyczaj nieliczne. Cały materyał nagromadzony składa się z różnych tablic, w sposób graficzny przedstawiających rozmaite zagadnienia ekonomii społecznej, z dokumentów, statutów i projektów różnych urządzeń społecznych, wreszcie z odnośnej literatury. Zapoznanie się z tem wszystkiem wymaga sporego czasu i systematycznej pracy. Dla gapiów, których pełno jest na wystawie, niema tu miejsca, i to nawet dla takich, którzy znają się na przedmiocie, lecz cofają się przed zmudnem badaniem. Z tego powodu pawilony ekonomiczne świecą pustkami nawet w godzinach największego ruchu. Jeżeli ktoś chce istotnie poznajomić się z wystawą ekonomii społecznej, istnieje po temu jedyny środek: kolejnego przeglądania każdego dokumentu, czynienia porównawczych notatek itd. A do przejrzenia jest mnóstwo materyałów. Zobaczmy to bogactwo zblizka. Oddział I. Wynagrodzenia pracy. Część najnieliczniejsza i wprost skandaliczna, bo zawierająca z Francyi wszystkiego 24 numery wystawowe w katalogu. W tej liczbie znajdujemy ogółem tylko 5 prywatnych przedsiębiorców. (Zresztą materyał odnośny jest bogato rozprzozony w innych oddziałach). Oddział II. Przedsiębiorstwa, dopuszczające robotników do udziału w zyskach, i stowarzyszenia współdzielczo-wytwórcze. Numerów wystawowych 88. Oddział III. Syndykaty i związki udziałowe, giełdy pracy. Numerów wystawowych 61. Oddział IV. Sprawa uczniów w rzemiośle, prawodawstwo w tej mierze, towarzystwa opieki nad dziećmi pracującemi, szkoły rzemieślnicze. Numerów wystawowych 78. Oddział V. Towarzystwa wzajemnej opieki i wzajemnego ubezpieczania. Numerów wystawowych 154. Oddział VI. Kasy emerytalne. Numerów wystawowych 67. Oddział VII. Zabezpieczenia rozmaitego rodzaju. Numerów wystawowych 36. Oddział VIII. Instytucye oszczędności. Numerów wystawowych 45. Oddział IX. Stowarzyszenia i związki kooperacyjno-spożywcze. Numerów wystawowych 37. Oddział X. Instytucye kooperacyjno-kredytowe. Numerów wystawowych 13. Oddział XI. Mieszkania robotnicze. Numerów wystawowych 51. Oddział XII. Związki i stowarzyszenia rozrywki, zabawy i samo-kształcenia. Numerów wystawowych 86. Oddział XIII. Hygiena społeczna (karmienie i wychowanie niemowląt, łaźnie i pralnie publiczne, walka przeciw pijaństwu, ochronki publiczne itd.). Numerów wystawowych 44. Oddział XIV. Instytucye założone przez patronów dla robotników. Numerów wystawowych 72. Oddział XV. Mała i wielka uprawa gruntów w porównawczem oświetleniu. Drobny i wielki przemysł. Numerów wystawowych 49. Oddział XVI. Wmieszanie się państwa w sprawy ekonomiczne. Numerów wystawowych 29. Dodajmy do tego jeszcze szczególny oddział, tak zwany miejski, w którym miasta ułożyły wystawę swoich związków i urządzeń społecznych, a otrzymamy razem przeszło 1,000 numerów dla samej Francyi (z niewielkim wyjątkiem zresztą). Obok tego Belgia urządziła własną grupę, nadto i Anglia z Włochami przyjęły znaczny udział. W ten sposób otrzymuje się jeszcze około 200 numerów. Dla pragnącego więc poznać tę część wystawy paryskiej jest co oglądać i badać. Należy przytem zauważyć, że powyższe wyliczenia dają nader słabe i zbyt ogólne pojęcie o bogactwie działu ekonomii społecznej. Weźmy dla przykładu chociażby Stany Zjednoczone, przedstawione zresztą bardzo słabo. „Rycerze pracy" zajęli połowę jednej i drugiej sali, ozdabiając je sztandarami i hasłami związkowemi. Znajdujemy tu ustawę całego związku i statuty oddzielnych grup, czasopisma urzędowe jak *Journal united Labour* i inne za cały przeciąg istnienia, zbiór sprawozdań z dorocznych zjazdów, fotografie głównych działaczów i przewódców, dzieje ruchu, zamiary na przyszłość, ustawy i działalność założonych przez związek stowarzyszeń współdzielczo-wytwórczych i spożywczych. Uniwersytet w celu szerzenia samo-oświaty, znany pod nazwą Hopkinsa, wystąpił ze swemi wydawnictwami, działalnością i urządzeniem. „Departament pracy" ogólno-związkowy uczynił to z 76 tomami urzędowej statystyki ze sprawozdaniami o ruchu współdzielczym i kooperacyjno-spożywczym w północnej Ameryce; Stany Kalifornii północnej, Florydy, Illinoisu, Maineu, Michiganu, Missuri, New-Hampshireu, New-Yorku i Pensylwanii oraz miasta Buffalo, Clevelang, New-York, Filadelfia, Pittsburg, S. Francisco, S. Paul, Syrakuza, Springfield i Waszyngton — z prawodawstwem i dokumentami, dotyczącymi mieszania się państwa lub zarządów miejskich do oświaty, hygieny, emigracyi, warunków zarobkowania itd. Dodajmy do tego bogaty dział new-yorskich stowarzyszeń budowlanych w celu wznoszenia tanich a zdrowych mieszkań, wystawy pojedynczych przedsiębiorców w rodzaju Dolge'a i in., a pod dziesiątkiem numerów dostaniemy olbrzymi materyał. Albo weźmy oddział XV, drobnej i wielkiej uprawy i dobrego i wielkiego przemysłu. Wprawdzie jest tu tylko 49 numerów, ale w tem zawarto cały stan kwestyi odnośnej we Francyi. Tablice i dokumenty pisane uprzytomniają statystykę zawodową, przestrzeń różnych kultur i wydajność; sprawozdania oddzielnych gmin, miast lub kantonów. Zwłaszcza licznie i okazale wystąpił departament Char, wysyłając aż 26 sprawozdań o różnych swych okolicach. Warto też nieco drobiazgowiej zatrzymać się nad oddziałem mieszkań klasy robotniczej. Można tu wejść, nic nie wiedząc o odnośnej kwestyi, i po tygodniowych studyach umieć więcej, niż po dwuletniem siedzeniu nad książką. Kilka domów przemysłowych pośpieszyło z wystawieniem podobizn zbudowanych przez nie mieszkań robotniczych naturalnej wielkości. Widzimy przed sobą dwupiętrowy dom robotniczy z Willebrooku dla jednej rodziny; jednopiętrowe domy z Lillars i Anzin równie dla pojedynczej rodziny; domy dwurodzinne w Noisiel. Wszędzie pokoje umeblowano według żywych wzorów. Lecz przedewszystkiem obficie uposażono oddział modelami domostw, często znacznej wielkości. Pewnie znajduje się tego kilka dziesiątków. A zatem oglądamy tutaj w miniaturze modelowej „pałac robotniczy" w Guise, zbudowany według falansterów Fouriera, kilkopiętrowe domy tanie, często dla kilkuset rodzin, z Londynu i New-Yorku, typy domostw z Mühlhausen itd. Atoli główną uwagę zwracają modele miast, powołanych do życia i nawet zbudowanych przez jakąś fabrykę. Modele te zajmują czasami do ja-

kichś 40 łokci kwadratowych; domy robotników i urzędników, zakłady fabryczne, ogrody, szpitale, słowem całe urządzenie miasta występuje jak na dłoni. Widzimy w ten sposób osadę fabryczną w Guise i w Delft; miasto przy fabryce Thaon, inne jeszcze przy zakładach Solvaya. Dodać do tego należy plany i fotografie domów istniejących lub zamierzonych, ustawy i sprawozdania stowarzyszeń budowlanych o swej działalności, projekty tanich mieszkań lub domostw udziałowo-kooperacyjnych, sprawozdania niektórych miast w sprawie unarodowienia domów, wreszcie literaturę przedmiotu. A jednakże oddział mieszkań nie należy do najlepiej urządzonych na wystawie. Zresztą w tym względzie panuje tutaj wielka nierówność. Są oddziały wprost gorszące swem ubóstwem, są inne bardzo umiejętnie ułożone. Zależy to wprost od tego, czy znalazła się jakaś ręka celowa, która zajęła się zebraniem materyałów. W oddziale związków zawodowych znalazła się ona w centralnym komitecie syndykatów; w oddziale udziałowym w stowarzyszeniu, które wzięło sobie za cel szerzenie odpowiedniego urządzenia.

Mówiąc o wystawie ekonomii społecznej, musimy zauważyć najważniejszą stronę dodatnią. Jest to zgromadzenie w każdym oddziale prawie całej odnośnej literatury przedmiotu, zwłaszcza francuskiej i poniekąd angielskiej i włoskiej, niemiecka bowiem świeci zupełną nieobecnością. Tu widzimy jedną i drugą szafę wraz ze statystyczno-geograficznemi mapami w sprawie związków syndykalnych, gdzieindziej le Playowskie stowarzyszenie ekonomii społecznej pośpieszyło z wystawą swych wydawnictw i działalności — itd. Wreszcie i sama wystawa stworzyła własną literaturę ekonomiczną. Każde prawie stowarzyszenie współdzielcze lub przedsiębiorstwo oparte na przypuszczeniu robotników do udziałów, ważniejsze kasy oszczędności, syndykaty, zabezpieczenia i inne instytucye wydały z powodu wystawy mniejsze lub większe broszurki i sprawozdania, umieszczone w odpowiednich miejscach i rozdawane już darmo, już za nieznaczną opłatą. Często są to prace bardzo znacznych rozmiarów. Miasto Nimes np. wydało opis ruchu współdzielczego u siebie za ostatnie pół wieku, departament Rodanu — olbrzymie dzieło o kwestyi społecznej i urządzeniach ekonomicznych na swem terytoryum, Belgia —aż 18 tomów, przedstawiających całokształt różnych zagadnień ekonomicznych i społecznych, w kraju, jako to kwestyę tanich mieszkań, wychodźtwa, płac zarobkowych, stowarzyszeń kredytowych, współdzielczo-wytwórczych lub spożywczych, itd. Dość powiedzieć, że w naszem posiadaniu znalazło się tą drogą prawdopodobnie dwieście z okładem broszur, książek i sprawozdań, a może i więcej. Jest to materyał, który w zwykłym czasie tylko wyjątkowo można dostać. Sądzę też, że nie przesadzę, jeśli powiem, że wystawa ekonomii społecznej położyła więcej zasług tem, że przyczyniła się do ogłoszenia drukiem podobnych dokumentów, niż samem nagromadzeniem czasowem w swym obrębie rozmaitych tablic i papierów.

Wracajmy jednakże do przerwanego opisu. Najlepiej na wystawie przedstawia się oddział przedsiębiorstw, które przypuszczają robotników do udziału w zyskach. Posiada on cały własny pawilon — „pavillon de participation.“ Jest to mniej więcej w przecięciu prawidłowy wielokąt, oszklony z góry, kształtnej budowy. Naprzeciwko wejścia wprawiono ogromną tablicę marmurową, wystawioną przez stowarzyszenia propagandy udziałowej, a zawierającą spis wszystkich firm, które przypuściły robotników do udziału w zyskach i dały znać o sobie. Naliczyliśmy ich do 131. Pod główną tablicą wystawa dokumentów firm wypisanu gorszych; dokumenty ułożono jednolicie, według tej samej modły. Obok literatura w odnośnej kwestyi oraz wydawnictwa i buletyny samego stowarzyszenia. Wszystkie ściany pałacyku, od góry do dołu, zajęte wprawionemi kamiennemi tablicami, obwieszczającemi stan udziałów w odpowiednich odrębnych przedsiębiorstwach. Znajdujemy tutaj sprawozdania krótkie o dziejach każdego udziału, o ilości dopuszczonych robotników, warunkach przypuszczenia, wpływie na pracujących. Wreszcie tu i owdzie dołączono fotografie najstarszych uczestników lub zbiorowe zarządów. W dole pomieszczono szafki z drobiazgowymi dokumentami, księgami z roku na rok, dziełkami i broszurami uczestników udziału, i często drukowanem treściwem sprawozdaniem z położenia, zwykle rozdawanem publiczności na żądanie. Po lewej stronie od wejścia biusty Dollfusa i Engela z podziękowaniem za działalność w celu polepszenia bytu warstwy robotniczej. Firma Leclaira, zasłużonego działacza w szerzeniu idei udziałowej, zajęła oddzielny, niewielki pałacyk. Na ścianach znowu marmurowe tablice, gdzie czytamy opis urządzeń u Leclaira; naprzeciwko wejścia biust jego i słowa, że przyszłość należy do stowarzyszeń udziałowych. Nie koniec na tem. Wystawa urządzeń udziałowych zajęła bowiem jeszcze kilka sal w głównym gmachu ekonomii społecznej. W jej obrębie pomieszczono także oddział stowarzyszeń współdzielczo-wytwórczych. Wystąpiła jedynie Francya, zajmując niewielką salę. Wmurowana tablica wykazuje ilość istniejących w kraju instytucyj tego rodzaju; same stowarzyszenia pośpieszyły z dokumentami i szczegółowemi tablicami, z fotografiami swych członków, widokami pracowni i warsztatów, wreszcie obrazami dokonanych prac (np. kamieniarskie). Oddział udziałowy zawarł wreszcie w sobie pozostałe z dawnych czasów zwyczajowe sposoby podziału produktów pomiędzy właścicielem a bezpośrednim pracownikiem, jak polownictwo (metagage) polne, dzielenie się w suszarniach soli morskiej i przy połowie ryb, wraz z istniejącem w tej mierze piśmiennictwem, modelami używanych narzędzi i statków. Z innych krajów Włochy pośpieszyły z mapami, przedstawiającemi rozmieszczenie stowarzyszeń wytwórczych, spożywczych i wzajemno-kredytowych, oraz dołączyły do tego krajową literaturę przedmiotu. „Board of Cooperation“ wystawił na placu olbrzymi kamienny pomnik z hasłem: „pomagajcie sobie wzajemną pomocą,“ gdzie skreślił statystykę i rozwój ruchu kooperacyjnego w Anglii, a nadto obdarza chętnych główniejszemi broszurami*). Stowarzyszenia spożywcze francuskie wysłały nawet próbki sprzedawanych produktów. Słowem, jeden i drugi tydzień studyów poznajamia przewybornie widza z całokształtem ruchu udziałowego wszędzie, kooperacyjnego i spożywczego we Francyi, Włoszech i Anglii. Podobnie okazale zarysowała się inna sprawa: samo-kształcenie i samo-łączenie w obrębie Francyi. Dokumenty w tej mierze zawarto w specyalnym gmachu: „Cercle populaire.“ Jest tu wszystkiego jedna olbrzymia sala z dwoma bocznymi pawilonikami. Urządzona jakby dla zebrań i odczytów, i, jak zobaczymy w przyszłym liście, jest w samej rzeczy ogniskiem i przytułkiem dla różnych kongresów w zakresie ekonomii społecznej. W środku stół olbrzymi, zasłany gazetami, broszurami i świstkami w odnośnej sprawie. Naprzeciwko wejścia tablice i sprawozdania z tak zwanego „międzynarodowego związku chrześciańskiego młodzieży,“ mającego na celu oświatę i zabawę w duchu chrześciańskim a liczącego aż 325 tysięcy uczestników. Po prawej stronie idą tablice różnych stowarzyszeń i związków orfeonicznych, choralnych i wogóle muzycznych z drobiazgową statystyką, skreśleniem celów i środków, mapy rozmieszczenia. Po drugiej stronie to samo uczyniły związki i towarzystwa gimnastyczne i strzeleckie, przyczem znajdujemy wzory gimnastycznych przyborów i metod. W pawiloniku jednym przytuliło się stowarzyszenie Franklina, zajmujące się szerzeniem i zakładaniem czytelni i bibliotek; obok w sali, t. z. „Cercle de Franklin“ w Hawrze przedstawiło model własnego gmachu — rodzaj ogólno-miejskiego klubu dla warstw robotniczych. W przeciwnej stronie widzimy wystawę londyńskiego uniwersytetu dla robotników: „Working Men's Club and Institute Union.“ Wreszcie drugi pawilonik zajęły związki i stowarzyszenia gimnastyczne i pokrewne belgijskie.

*) W tem miejscu muszę złożyć podziękowanie głównemu zarządowi w Manchesterze, który na listowne moje oświadczenie pośpieszył z wysłaniem około setki różnych swoich wydawnictw. Korzystając z tego, skreślimy wkrótce drobiazgowo stan ruchu kooperacyjnego w Anglii.

Są to wraz z działem mieszkań robotniczych najważniejsze części ekonomii społecznej. Z innych odznacza się jeszcze grupa związków syndykalnych francuskich oraz wystawa różnych stowarzyszeń ubezpieczenia. Natomiast oddział wielkiej i małej kultury wyszedł bardzo niepomyślnie —dla widzów. Tablice są drobno pisane; przytem zawieszono je tak wysoko, że niepodobna z nich nic skorzystać lub czyni się to z największą trudnością. Sądząc jednakże z różnych danych, można się spodziewać, iż cały zebrany materyał w pawilonach wystawy ekonomicznej doczeka się ogłoszenia drukiem, jak to już uczyniła Belgia oraz miasto Nimes i departament Rodanu. Nie będziemy jednak oczekiwali tego i w oddzielnych artykułach postaramy się zapoznać czytelników *Prawdy* z ogólną dążnością ekonomiczną naszego czasu, o ile została uwydatnioną na wystawie. Przytem zauważymy jedno. Oto, rzecz zaiste godna uwagi, iż cała ekonomia społeczna na wystawie obraca się dokoła kwestyi robotniczej i instytucyj kooperacyjnych i w gruncie rzeczy swojemi hasłami zaprzecza istniejącemu porządkowi społecznemu wojennego ścierania się pojedynczych interesów i systemowi najmictwa... Zresztą przyjrzymy się temu szczegółowo.

Na przyszłym liście zakończymy nasze sprawozdanie. Dzisiaj skreśliliśmy materyał zawarty w pawilonach ekonomii społecznej. Pozostaje jeszcze pomówić o ścierających się tutaj dążnościach i o zjazdach ekonomicznych, które obrały sobie za ognisko gmach „Koła ludowego.“

Lud. Krz.

WYNALAZKI.

Proch bez dymu. Z gazet codziennych czytelnicy wiedzą, że w Niemczech wynaleziono nowy proch, niewydzielający dymu. Z tym klejnotem pomysłowości cywilizacyjnej robiono próbę w obecności cesarza austryackiego podczas manewrów w Spandawie. Próba wypadła pomyślnie, ale nasunęła specyalistom bardzo poważne rozmyślania, które jeden z organów niemieckich tak wyraża:

Czas dopiero przekona, czy nowy ten proch posiada w pożądanym stopniu niezbędne przymioty prochu wojennego. Wprawdzie dotąd wynalazek niemiecki okazał się dobrym, ale stoimy z nim zaledwie na progu doświadczeń, które zapewne go udoskonalą. Mylnie donoszono, że proch bez dymu nie sprawia również huku. Kto zna odnośne prawa fizykalne, wie, że zarówno niepodobieństwem jest usunąć huk, jak uderzenie wstecz (Rückstoss). Przy próbie 14 sierpnia łatwo było zauważyć, że huk był raczej silniejszym, niż słabszym. Co do wpływu nowego wynalazku na prowadzenie wojny, to doświadczenie spandawskie wykazało, że dotychczasowe rozumowania teoretyczne były błędne. Przedewszystkiem strzelanie i trafianie

jest znacznie ułatwione, tak, że właściwie teraz dopiero można poważnie mówić o „celowaniu.“ Tę korzyść jednak przeważają wielkie szkody strategiczne i moralne. Uwidoczniło się to 14 sierpnia. Nie dostrzeżono nieprzyjaciela, strzelającego prochem bezdymnym, pomimo że zbliżył się na 300 metrów. Słyszano z przeciwnej strony żwawy ogień, tj. huk, można było w przybliżeniu oznaczyć kierunek, w którym znajdowały się szeregi nieprzyjacielskie, ale nie wiadomo było ściśle, gdzie one są. Skutkiem tego niepodobna było skutecznie ostrzeliwać ich, a wszyscy dowodzący aż do najniższych czuli potrzebę lunet polowych dla wyśledzenia ukrytych armat i wskazania ich żołnierzom. Nadto nowy proch niezmiernie utrudnia zadanie kawaleryi. Dotąd, posuwając się naprzód w małych oddziałach, gdy z jakiegoś zasłoniętego miejsca (wsi, krzaków itp.) skierowano na nią niebezpieczny ogień, mogła ona po dymie rozpoznać, skąd on pochodzi. Teraz, wystawiona na strzały, musi dopiero szukać ich źródła i oryentować się samym hukiem, co jest bardzo trudne a często niemożliwe. Użycie przeto kawaleryi przy tym prochu zostało niezmiernie ograniczone.

Nowy tedy kwiat morderczej wynalazczości niemieckiej ma swoje ciernie.

LITERATURA I SZTUKA.

Z NIEMIEC.

14 września.

Bernheima metodologia dziejopisarstwa. — Fryderyk Nietzsche, niemiec filozofujący młotem. — Przegląd beletrystyczny: Ferdynanda Schifkorna powieść „Vom deutschen Stamme“; „Fanny Förster“ powieść Idy Boy-Ed.; „Frau Tannhäuser“ nowele Jadwigi Dohm.

Traktowanie zagadnień metodologicznych na polu pewnej umiejętności bywa zazwyczaj znamieniem przewrotu, odbywającego się w jej łonie. Nowy jakiś prąd stara się pobić praktykę przestarzałą, zatykając sztandar zwycięzki na wyżynie teoryi, lub też tradycya naukowa obwarowywa dziełem metodologicznem swą pozycyę wobec śmiałych ataków młodej szkoły. Bądź co bądź, żywić można nadzieję, że niebawem upadnie szablon jakiś przestarzały, że usuniętą zostanie jednostronność, która wyrobiła się w szkołach. Nowe dzieło Ernesta Bernheima o metodzie historycznej *) jest baterya, którą stara szkoła historyczna oszańcowała się przeciw szerszym i głębszym w dziejopisarstwie prądom. Jednak, jako pierwsze po latach dwudziestu przeszło dzieło metodologiczne, napisane nietylko z erudycyą niepospolitą, ale z bystrością, jest ono wysoce użytecznem i pouczającem nawet dla innych w dziejopisarstwie kierunków. Książka Bernheima jest dogmatyką t. zw. szkoły objektywnej, założonej przez Rankego, a popartej w rozwoju swym przez Waitza, szkoły, która jako główne, jedyne niemal zadanie historyi oznacza stwierdzanie zdarzeń faktycznych. Niejeden z wybitnych historyków niemieckich inną poszedł drogą, zagłębiając się choćby w stronę polityczną dziejów; wystarczy wspomnieć bodaj o Treitschkem i jego *Deutsche Geschichte*. Niejeden też podejmował już śmiałe ataki na zasady panującej szkoły; najdzielniej może wystąpił Lorenz przeciw jej metodzie oceniania źródeł. Rankiści, pewni przeważnego swego stanowiska, dotychczas nie wdawali się wcale w spory o kwestyach zasadniczych. Książka Bernheima zaś właśnie w punktach decydujących zajmuje stanowisko Rankego, aczkolwiek poniekąd zmienione. Z Rankiem, którego Bernheim często przytacza, zwraca on się przeciwko „prawom“ historycznym, podnosi znaczenie faktów, gardzi oceną zdarzeń (Werthurtheil), polemizuje z dziejopisarstwem politycznem, kładąc z drugiej strony nacisk na jedność rozwoju historycznego, żądając, by fakt każdy pojmowano w świetle związku zdarzeń. Oddała się natomiast od Rankego, czyniąc pewne ustępstwa dziejopisarstwu filozoficznemu.

Dzieło Bernheima, według intencyi autora, podwójne spełnić ma zadanie: z jednej strony traktuje ono o zagadnieniach zasadniczych umiejętności dziejopisarskiej, z drugiej służy młodym uczonym jako podręcznik praktyczny, ułatwiający im pierwsze prace, zoryentowanie się w bibliografii itd. Pracę swą autor podzielił na sześć ustępów głównych. Określa najprzód pojęcie, istotę, zakres i zadanie dziejopisarstwa; dalej rozwija ogólnie metodę historyczną, której celem jest stwierdzenie faktyczności zdarzeń i poznanie ich związku. Następnie dopiero rozbiera szczegółowo cztery zadania tej metody: heurystykę, zbierającą materyał; krytykę, oceniającą go i badającą faktyczność zdarzeń; pojmowanie (Auffassung), wyjaśniające znaczenie i związek faktów; wreszcie przedstawienie, odtwarzające dla czytelnika fakty, których związek poznano. Najudatniejszymi są rozdziały o heurystyce i krytyce, gdzie Bernheim opierać się mógł na licznych poprzednich pracach metodologicznych; mniej pewnym i jasnym jest rozdział o pojmowaniu, czyli poglądzie historycznym. Ostatnie cztery przeznaczone są dla badaczów, pierwszy natomiast, najogólniejszy, zajmującym jest dla szerokich kół ukształconej publiczności. Tu określa autor przedewszystkiem pojęcie historyi, która jest „nauką o rozwoju ludzi jako istot społecznych.“ Definicya ta pozostaje poniekąd w sprzeczności z dalszymi wywodami, które znacznie ograniczają zakres dziejopisarstwa; według niej bowiem należy zaliczyć do historyi dzieje kultury, antropologię i historyę, słowem byłaby to historya powszechna w dawnem jej pojęciu. Definicya ta nie liczy się wcale z usiłowaniami lat ostatnich, dążącemi do odgraniczenia właściwej umiejętności historycznej od owych nauk uzupełniających.

Usilnie zwalcza Bernheim pogląd, iż dziejopisarstwo jest nietylko umiejętnością, ale i sztuką. Pomijamy krytykę i formę zewnętrzną dzieł historycznych, w których niejeden mieści się pierwiastek artystyczny; atoli ze wykład historyczny, tj. rozeznanie motywów działania wybitniejszych osobników wymaga czynności umysłowej, wielce zbliżonej do tworzenia poetyckiego, przyznać musi każdy nieuprzedzony. Podobnie jak poeta, historyk z faktów przekazanych i ze źródeł przezeń odkrytych utworzyć sobie musi w myśli charakter postaci, a dopiero poznawszy je jako całości w sobie zamknięte, tłomaczyć może zdarzenia jako przejawy gry sprężyn, tkwiących w charakterach.

Trzecim punktem, na który zgodzić się trudno, jest zaprzeczenie przez Bernheima praw historycznych. Zapewne, iż praw tych nie należy czerpać ze spekulacyi i narzucać biegowi historyi; atoli skoro materyał dziejowy sam drogą ostrożnej indukcyi prowadzi do poznania pewnych prawideł, to gardzić niemi — znaczyłoby odmawiać historyi znaczenia nauki. Bez nich jest ona regestrem zdarzeń przypadkowych, które mogłyby były wypaść inaczej i inną postępować koleją. W takim razie nie miałaby istotnie wartości wyższej od opowieści, która nieraz bardziej może być zajmującą, aniżeli kronika ludów.

O ile tedy w kwestyach zasadniczych radzilibyśmy nie powierzać się wywodom Bernheima, pisanym zresztą żywo i z przekonaniem, o tyle polecić możemy rozdział o metodzie pisania prac historycznych, w którym mnóstwo znajduje się wskazówek bibliograficzno-literackich. Niestety, autor sam nie skorzystał z rad, jakich udziela zaniedbującym formę zewnętrzną. Stylowi jego, jasnemu i przejrzystemu, zarzutu czynić nie można; lecz Bernheim znosi zalety swego pióra, dzieląc książkę na mnóstwo paragrafów, ciągle w tekście przytaczanych i umieszczając całkowite cytaty wśród tekstu głównego. Jest to nowość, która oby się żadnemu historykowi nie podobała.

Niemcy stracili jednego z najoryginalniejszych autorów: Fryderyk Nietzsche opuścił gabinet filozofa, by przejść do celi obłąkanego. Kto w latach ostatnich śledził prace tego niepospolitego człowieka, dla tego nie będzie ta wiadomość niespodziewaną. Jego „Götzendämmerung,“ pełna jeszcze błysków bystrości i dowcipu, już nie pozwalała wątpić o tem, że fatalne cierpienie toczyć musi umysł autora. Apostazya gorącego niegdyś zwolennika Wagnera szerokie zadziwiała koła. Atoli już poprzednie jego prace: „Alsosprach Zarathustra,“ „Der Wanderer und sein Schatten,“ „Menschliches, Allzumenschliches,“ wreszcie „Jenseits von Gut und Böse,“ których tytuły już zdumiewają oryginalnością, mają wyraźne zabarwienie patologiczne. Z kół bliskich Nietzschemu wyszła wiadomość, że nie głęboka, bezustanna praca myśli, szukającej rozwiązania zagadnień najwyższych, podkopała umysł tego śmiałego filozofa, lecz że mózg jego przejął był pierwiastek patologiczny drogą dziedziczności. Bezbronnego obecnie myśliciela napada zgraja dawnych jego przeciwników, głosząc śmiało, iż nie był on nigdy filozofem pełnej miary, lecz kosmopolitą nienawidzącym wszystko, co niemieckie, wreszcie, że umiał jedynie puszczać rakiety, nie rozumować prawidłowo. Przyjaciele natomiast, broniąc go, tak tłomaczą zarzuty powyższe: Nietzsche nie napisał systemu filozoficznego — uznawał myślicieli francuskich — używał formy aforystycznej. Bądź co bądź, prawdziwie oryginalny to niemiec! Był filozofem, który zgłębił dziedziny filozoficzne, począwszy od filologii klasycznej, a skończywszy na nowoczesnej psychologii, a nie napisał systemu! A jednak posiadał stokroć więcej myśli, aniżeli niejeden z ostatnich systematyków na polu filozofii; każdy rozdział, każda strona prac jego tryskały oryginalnymi poglądami. Tak, dziwny to niemiec, co zaryzykował twierdzenie, że aforystycy francuscy: Montaigne, Fontenelle, Labruyere, Larochefoucauld, Vauvenargues więcej wydali myśli, aniżeli wszyscy filozofowie niemieccy pospołu. A nie była to bynajmniej mania oryginała i filozoficzna poza paradoksalnej bezstronności. Uwielbieniu ducha francuskiego pozostał on wiernym do końca, a ostatnie dzieło swe poświęcił pamięci Voltaire'a. Aczkolwiek bezwzględnie ganił niemiecką „Schollenkleberei und Vaterländerei,“ był jednak dobrym obywatelem: podczas wojny francusko-niemieckiej pełnił służbę samarytanina, atoli rozwój stosunków niemieckich po r. 1870 wielce rozczarował niezawisłego a postępowego myśliciela. Wspomnieliśmy już, iż zamiłowanie jego do autorów francuskich odnosiło się też do formy przez francuzów wydoskonalonej. Lubił on aforyzm wypieszczony przez spryt francuski, lubił zgrabny rytm jego, dowcip, który nadaje mu ostrość sztyletu. Aforyzm postał formą jego ulubioną nawet w najgłębszych pracach filozoficznych, a jest to forma, która poniekąd warunkuje charakter literacki dzieła.

Formy tej nie zastosował jeszcze w pierwszej swej pracy „O odrodzeniu tragedyi z ducha muzyki.“ Ogłosił ją, wyszedłszy ze szkoły suchych krytyków filozoficznych, sam będąc profesorem filologii: a była to rozprawa tak śmiała i w głąb' sięgająca, iż wywołała zdumienie u nieuprzedzonych, gniew i szyderstwo w kołach filologów. Wprawdzie i życzliwym krytykom trudno było zgodzić się na apoteozę Dyonizowego oszołomienia, atoli ustępy o Sokratesie

*) *Lehrbuch der historischen Methode.* Mit Nachweis der wichtigsten Quellen und Hülfsmittel der Geschichte. Lipsk, Duncker, 1889. Cena 10 marek.

i Eurypidesie przewyższają głębokością swą i pięknością wszystko, co filologia wypowiedziała o wielkich tych grekach. Był bowiem Nietzsche nietylko filozofem, ale artystą o subtelnem rozumieniu sztuki i umysłów twórczych. W aforyzmach swych obejmował dziedzinę właściwej spekulacyi filozoficznej, życie społeczne, wiarę i historyę. W jednem zdaniu skreślał nieraz charakter powikłany, lub wyrażał sprzeczności leżące na dnie długich polemik naukowych. Przecząc, jakoby świat był dobrym lub złym, nie przyznawał nigdy, iż filozofia jego jest pesymistyczną, za jaką powszechnie uchodziła. Sądził, iż był po prostu prawdziwym: i przyznać mu też należy, że mało kto pisał z większą szczerością, rzetelnością, objektywnością i bezwzględnością. Strach, przyzwoitość i wzgląd były według niego uczuciami subjektywnemi, filozof zaś powinien być takim, jakiemi są rzeczy same, tj. objektywnym. Najgwałtowniej występowała ta rzekoma objektywność, która u człowieka tego, pełnego temperamentu, była właśnie wyrazem silnej indywidualności — na polu wierzeń. Tu filozofował istotnie „uderzeniami młota“ (jedna z najbardziej znanych prac jego nosi tytuł: „Wie man mit dem Hammer philosophirt“). A nadmienić należy, że niechęć jego dla religii miłości początek swój brała w odrazie do nauki o równości wobec nieba. Nietzsche był najczystszej krwi arystokratą ducha; mimo szczerego demokratyzmu i gorącej sympatyi dla ofiar ekonomicznego ucisku, stał on twardo na gruncie różnic indywidualnych, umysłowych, wytwarzanych przez przyrodę. Z podobną niechęcią zachowywał się więc wobec „zrównanego człowieka przyszłości,“ o którym marzą niektórzy socyaliści.

Filozofii przyznawał wartość najwyższą; dzielił on pogląd Platona, iż ona powinna nietylko pouczać ludzkość, ale nią kierować.

Choroba, na jaką zapadł, ma być nieuleczalną; być może, że fizycznie przeżyje jeszcze szereg lat; umysłowo skonał.

Na zakończenie listu niniejszego słówko o dwóch powieściach, które wyróżniają się z tłumu nowości beletrystycznych, napływających z sezonem jesiennym. Ferdynanda Schifkorna „Vom deutschem Stamme“ przedstawia walkę żywiołu niemieckiego z węgierskim podczas ostatniej wojny francuskiej. Rzecz pisana z talentem, szkoda tylko, że się w niej rozwielmożnia szowinizm narodowy. Bohater, należący do grona kolonistów saskich, wyposażony jest wszystkiemi zaletami idealnego typu; ustroił go nadto autor w szatę męczeńską, w której dziś trudno nam wyobrazić sobie niemca. Dość, że idealnie piękny, idealnie silny, idealnie szlachetny ten niemiec znosi idealne prawdziwie cierpienia; wiedząc, że nie uzyska nigdy miłości madziarów, chce ich do szacunku zmusić i całe swe życie poświęca dobru drugich, zrzekając się szczęścia osobistego. Zbiera jednak tylko niewdzięczność. Madziaryzm reprezentuje dumny Bela, pełen wysokiego uzdolnienia, lecz dziki i skłonny do namiętności zgubnych, które rozdmuchiwa wuj jego. Poznawszy niskość swego postępowania, zawstydzony uznać musi moralną wielkość przeciwnika niemca. No! bywało i inaczej.

Kiedy Schifkorn przedstawia walkę dwóch ras nienawidzących się, Ida Boy-Ed w nowej swej powieści „Fanny Förster“ maluje walkę płci kochających się wzajemnie „Aż do zębów uzbrojone“ — według wyrażenia autorki — występują płcie do tej walki o miłość. Jest tu młoda żona, której mąż nie rozumie, a którą pociesza młody człowiek, odgadujący, iż z tego niezadowolenia jej skorzystać można. Jest kobieta dojrzała, owdowiała, która jako właścicielka dóbr, stworzyła sobie piękny zakres działania, napełniającego duszę jej taką harmonią, że miłość, która do niej się zbliża, budzi w niej niechęć i smutek. Nie jest to bowiem miłość wielka, zdrowa, lecz skłonność do młodego człowieka, który nie umie żyć bez romansu; z ogniem młodości, a z lekkomyślnością donżuana, młodzieniec ten dwu kobietom równocześnie przysięga miłość. Pojmując starania o miłość jako walkę zaciętą, fatalne przytem ma autorka pojęcie o sile i naturze swej płci, skoro twierdzi, że jest to walka, której rezultat, zgubny dla kobiety, zawsze zgóry jest pewnym. Według niej kobieta, choćby mędrsza, lepsza, ulega człowiekowi codziennemu dlatego tylko, iż jest kobietą, on zaś zwycięża dlatego tylko, że jest mężczyzną. Twierdzenie tem dziwniejsze, że wychodzi z ust autorki niemieckiej, której koleżanki w utworach swych wszystkie niemal uchodzić pragną za Brunhildy nowoczesne. Potrzeba tylko zajrzeć do nowel Jadwigi Dohm, zebranych pod tytułem „Frau Tannhäuser,“ a osnutych na tle kwestyi, czy stanowisko kobiet w rodzinie i w społeczeństwie wymaga reformy. Młoda autorka nie cofa się w nich przed żadną konsekwencyą zagadnień, które traktuje. W pojęciu błękitnawej tej jeszcze pończoszki, kobiety — to tytanki; mężczyzni zaś, to lichoty moralne, z któremi wdawać się nie warto.

Ładawa.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Nowa odpowiedź na pytanie co do racyi bytu arystokracyi. — Wspaniałomyślna ofiara ks. Lubomirskiego. — Co panowie zrobili z Galicyi.—Swobodne w niej oddechy. — Potrzeba sprawdzenia złudzeń.— Nagrody paryskie dla wystawców warszawskich. — Nagroda warszawska dla p. Bogusławskiego. — Mielenie się p. Kosiakiewicza.—Solidarność milczenia.— Proces p. Makowskiej. — Szczególna tolerancya. — Ciekawe pytania.

Jakby dla odpowiedzi ludziom, stawiającym ciągle światu pytanie, na co mu jest potrzebną arystokracya, członkowie jej biorą od czasu do czasu pełne garście dukatów i rozsypują je między biedaków. Przyznać trzeba, że jakkolwiek odpowiedź taka nie załatwia i nie usuwa owego pytania, jest ona najlepszą z tych, jakie dać można. Zwłaszcza w społeczeństwie polskiem występuje ono coraz natarczywiej; to też może dlatego ks. Lubomirski, tłomacząc racyę bytu, już nie swojego, ale swoich parów, po raz drugi hojną ręką składa ofiarę galicyanom: przed paru laty dał dwa miliony, a obecnie milion fr. na zakłady dla dzieci opuszczonych. Magnat polski naszego czasu, pozbawiający się 3 milionów franków na rzecz ogółu, to coś tak zdumiewającego, że trzeba kilka razy oczy przetrzeć i upewnić się o jawie, ażeby uwierzyć, że to nie sen. Przypuszczam, że w zacności charakteru tkwiły pobudki do tej wspaniałomyślności, ale kto wie, czy i przebywanie śród francuzów nie wywarło tu pewnego wpływu. Arystokracya galicyjska mogłaby obywatelskiego księcia natchnąć myślą pomnożenia służby stańczykowskiej, świętopietrza, środków propagandy jezuickiej lub czegoś podobnego, ale nie miłosierdziem dla małych nędzarzów. Mogłaby ona śmiało wywrócić naopak znaną maksymę łacińską i powiedzieć o sobie: wszystko, co jest ludzkiem, powinno mi być obcem. Austrya jest dziwolągiem, błaznem, który występuje w cyrku odziany pstrokatą bluzą, zszytą z najjaskrawszych barw liberalizmu, a w domu po cichu łamie żebra żonie i obrywa uszy dzieciom; jest to państwo w swym konstytucyonalizmie obłudne, nierzetelne, ale na tę jego nieszczerość możnowładztwo galicyjskie umiało nałożyć jeszcze grubsze cienie, umiało jeszcze wynaturzyć stosunki już zwyrodniałe, wytworzyć kłamstwo w kłamstwie, biedę w biedzie, ucisk w ucisku. Dzięki jemu kraina ta jest żebraczką, a obecnie coraz bardziej staje się jędzą dla wszelkiej swobody. Są jeszcze ludzie, którym białe orzełki sprzedawane w Krakowie oraz pieśni grywane lub śpiewane w podziemiach Wieliczki, wyczerpują potrzebną ilość dowodów wolności. Ach, gdyby ci ludzie w swym przelocie do wód zagranicznych nie poprzestali na tych znakach i zajrzeli do chat włościańskich, do urzędów prokuratorskich, do więzień i przekonali się, jaką te chaty kryją nędzę, co w tych urzędach jest skonfiskowanem, kto w tych więzieniach siedzi — straciliby prędko swoje złudzenia. Minęły czasy — jeśli wogóle były — kiedy to „lżej oddychało się w Szczakowie.“ Dziś w tej Szczakowie tylko rewidują starannie paszporty, przetrząsają tłomoczki, szukając nieprawomyślnej kontrabandy, a kto niema wyraźnie czarno-żółto spręgowanej skóry i kto przytem zechce „lżej oddychać“ — ten może być z dalszej podróży zawróconym, albo, szczycąc się poddaństwem austryackiem, jako socyalista, panslawista, przeciwnik małżeństwa lub coś podobnego powędrować do kozy. Czytałem niedawno o nowych aresztowaniach we Lwowie. Być może, iż między uwięzionymi są c. k. winowajcy, ale stanowczo są tacy, których jedyną zbrodnię stanowią przekonania i którychby żadne, powtarzam — żadne państwo w Europie do odpowiedzialności nie pociągnęło. Jeżeli zaś wam kiedykolwiek zbędzie czasu i pieniędzy, pojedźcie do Galicyi i wypytajcie się tam, jakie książki i z jakimi artykułami pisma bywają tam konfiskowane; ręczę, że znajdziecie między niemi takie, które tu czytaliście. Słowem tedy: nędza, wyzysk, zdzierstwo podatkowe, ciemnota, nietolerancya i ucisk swobody przekonań — to są dobrodziejstwa, jakiemi rządy możnowładcze obdarzyły Galicyę. Dlaczegoż ona przeciw nim nie wytwarza silnego oporu? — pytacie. Dlatego, że — jak wykazał Szczepanowski — zebrać tam można zaledwie szczyptę ludzi niezależnych—produkcyjnych, a przez to samoistnych. Resztę stanowi albo ogłupiony lud, albo skrępowana zawisłością inteligencya. Może więc te 3 miliony franków, wrzucone wspaniałomyślną ręką magnata w życie klas ubogich, zaplonują bodaj nieznacznym rozwojem ich dobrobytu, a przezeń i niezależności. Nietylko więc jako jałmużna, ale i jako zasiłek społeczny, ofiara ks. Lubomirskiego zasługuje na wielkie uznanie.

Z Paryża nadeszły wiadomości o nagrodach przyznanych naszym wystawcom: dostała medal złoty wełna, dostały fortepiany, nasiona, cukier — i inne wytwory, których szczegółowo nie wymieniam, bo wam się jeszcze dosyć naprzykrzą w reklamach, za pomocą których producenci zalecać się będą do publiczności. Nie mogę tylko pominąć p. Fragota, który również odznaczony został, ale nie wiem — czy w dziale wyrobów platerowanych za robotę, czy w dziale ekonomii społecznej za życzliwe i ojcowskie obchodzenie się ze swoimi pracownikami.

Jednocześnie p. Bogusławski, znany recenzent teatralny, otrzymał w Warszawie nagrodę za swa mądrość wystawioną w Paryżu. W jednem z tamtojszych wydawnictw pomieścił on artykuł o sztuce dramatycznej u nas. Rzecz napozór szczególna, krytyk, który bardzo często przemawia, bo po przedstawieniu każdej nowej lub wznowionej sztuki, który napisał setki, jeśli nie tysiące sprawozdań w dziennikach miejscowych, który w Paryżu powtórzył tylko po francusku to, co głosi w Warszawie — tak zaimponował naszej prasie, że przedrukowała z namaszczeniem jego uwagi i dostrzegła w nich sądy bardzo głębokie. Wniosek stąd prosty: że gdyby p. Kosiakiewicz przełożył swoje kroniki na język francuski, stałby się A. Wolffem. Boć jeżeli p. Bogusławski jest takim głębokim znawcą i sędzią literatury dramatycznej, czemuż go tu, na miej-

scu nie podziwiają, mając ku temu lepszą i większą sposobność. Zwykły, zakulisowy parafianin zdejmuje czapkę przed słowem drukowanem, warszawski — przed słowem cudzoziemskiem. Który z nich naiwniejszy — trudno orzec. Może ze względu na skalę swego ukształcenia — drugi.

Wspomniałem o p. Kosiakiewiczu, który jest obecnie Figarem naszej prasy — gdzie się obejrzysz, tam go spotkasz. Przed rokiem, czy dwoma, ktoś odkrył, że skromny urzędnik kolei Iwangrodzkiej ma talent nowelistyczny. Po kilku szczęśliwych próbach, zażądano od niego natarczywie dalszych prac, a tyle było tych żądań, że p. Kosiakiewicz zaczął pisać dwiema rękami. Wreszcie spostrzegłszy, że rozkochany w jego muzie naród wymaga od niej więcej dzieci, niż ona przy swych obowiązkach służbowych urodzić może, porzucił kolej, przyleciał do Warszawy i zaczął się tu mleć na dziesięciu gankach. Nie wiem, co redaktorzy i wydawcy myślą o tej mące, ale według mnie znaczna jej część nie warta worków, w które się zsypuje, prościej mówiąc — znaczna część robót p. Kosiakiewicza nie warta druku. Podnoszę ten fakt nie dlatego, ażeby wskazać płodność jednego więcej robaczka, ale właśnie dlatego, że p. Kosiakiewicz ma talent, że go marnuje, a niedługo na obecnej drodze całkiem straci. Prasa, nie nasza tylko, lecz wszelka, jest rzeczywistą prasą dla umysłów młodych, zdolnych a nieopatrznych: wyciska je jak winne jagody, a gdy już soku nie dają— jak skórki odrzuca. Ile u nas dotąd wala się po jej łamach takich wyciśniętych skórek! Ile pod tą prasą zginęło talentów bardzo dzielnych! Niech p. Kosiakiewicz tego losu się strzeże, zwłaszcza że już dziś wygląda nadmielony. A co będzie za lat dwa, trzy? Ci sami, którzy dziś trzymają nowe sitko na kołku, powiedzą naprzód cicho, potem coraz głośniej: ależ ten pan wodę tylko z siebie pompuje.

Z dwudziestu paru lat nie pamiętam ani jednego wypadku, w którymby prasa warszawska przeciwko jakiemuś zdrożnemu faktowi, wyrosłemu na gruncie swojskim, wystąpiła już nie wszystkimi swymi organami, ale chociażby przeważną ich częścią. Zwykle dotknie rany jedno lub dwa pisma, a inne milczą, tak zawzięcie milczą, jak gdyby od ich niemoty zbawienie kraju zależało. Daremne są wtedy interpelacye czytelników. Ktoś np. z dobrze urodzonych ukradł cudze pieniądze — co ten lub ów dziennik ujawnił szczerze. Czytelnicy chcą naprzód znać fakt, a następnie sąd redakcyi — więc pytają. Wówczas jak gdyby zawiązuje się między nimi a ich pismami taki dyalog:

— Jakże było z tą kradzieżą?

— Sara Bernhard sypia w trumnie.

— Czy p. X. rzeczywiście przywłaszczył sobie?..

— Sardou pisze nową komedyę, której osnową będzie kwestya pinczerów.

— Albo my chcielibyśmy wiedzieć, czy p. X.?...

— Ma przybyć do nas cyrk pcheł, które skaczą przez bibułkę rozpiętą w uchu igieł.

— Czemu panowie nie wspomnieliście o tak gorszącem zdarzeniu, jak...

— Najlepszym podręcznikiem brzuchomówstwa jest... itd.

Coś podobnego zdarzyło się w przeszłym tygodniu. Zjazd sędziów pokoju rozpoznawał następującą sprawę. Hr. Dąmbscy oskarżyli służącą u nich a odprawioną pannę Kazimirę Makowską o kradzież. Dokonana u niej rewizya wykryła tylko serwetę ze znakami J. B., które p. Dąmbska uznała za własność swej matki, p. Makowska zaś twierdziła, że pochodzą one od jej matki, posiadającej w nazwisku te same litery początkowe. Sędzia pokoju nie uwierzył temu tłomaczeniu i skazał ją na rok ciężkiego więzienia. Tymczasem w apelacyi zaczęły się odsłaniać tajemnice całkiem niespodziewane. Naprzód student Humnicki zeznał, że poznawszy oskarżoną, postanowił ją poślubić, czemu stanowczo sprzeciwili się jego rodzice. Wkrótce potem ojciec jego odwiedził hr. Dąmbskiego, gdzie p. Makowska pełniła obowiązki gospodyni, odbył z nim tajemną naradę, której wynikiem była skarga sądowa. Już w cyrkule — mówi Humnicki — gdy p. Makowska osłabła ze wzruszenia, radzono mi, ażebym się jej zrzekł, a sprawa będzie umorzoną; hrabia zaś, zwróciwszy się do niej, rzekł: „Podłym wydawać się muszę w oczach pani, panno Kazimiero, ale do oskarżenia zmusiły mnie obowiązki przyjaźni. Wyrzecz się pani Humnickiego, a wszystko będzie dobrze.“ Służące hr. Dąmbskich jednogłośnie stwierdziły, że nigdy nic było w domu mowy o tej kradzieży, gdyż p. hrabina przetrząsa osobiście kufer każdej odprawionej służącej, a p. Kazimiera po odejściu zostawiła rzeczy swoje, które przez trzy dni stały w niezamkniętym kufrze. „Pani hrabina — według kucharki Wiśniewskiej — jest bardzo zazdrosna o młodego męża, a bojąc się jego zalotów, oblała raz mlekiem, niby nieumyślnie, tę samą suknię panny Makowskiej, o której kradzież teraz ją skarży.“ W końcu odczytano list hr. D. do ojca Humnickiego, zawierający, śród napomknień o celu skargi, te znaczące słowa: „wobec tego, że jest to nie moja, lecz pańska sprawa, proszę o zwrot wyłożonych kosztów w ilości rs. 20.“ Prokurator, wykazawszy całą ohydę intrygi, żądał uniewinnienia oskarżonej, co też sąd bez narad uczynił.

Gdyby tak potworna sprawa roztoczyła się publicznie w Paryżu, Wiedniu lub Berlinie, nietylko zajęłyby się nią wszystkie pisma tamtejsze, ale nawet nasze, w których natychmiast pojawiłyby się obszerne sprawozdania z „Cause celebre,“ „Sensacyjnego procesu,“ „Skandalu w *high life*“ itp. Tymczasem ponieważ zdarzyła się u nas — osłonięto ją milczeniem, jak gdyby potrzeba było szkaradę czynu powiększyć szkaradą pobłażania. Tylko jeden — o ile mi wiadomo—*Kuryer codzienny*, z którego powyższy opis poczerpnęliśmy, spełnił swoją powinność.

Osnowa procesu tak w nim ujawnia nici niegodziwości, że uwydatniać ich nie będę, a czytelnik sam, kogo należy, sprawiedliwie napiętnuje. Zapytam jedynie: czy p. Humnicki, jak widać, młodzieniec uczciwy i dzielny, pozostawi krzywdę kobiety kochanej bez kary?

Poseł Prawdy.

PRASA RUSKA.

Now. Wremia pisze:

„Jedną z poważnych spraw administracyi miejscowej jest wysunięta na porządek dzienny kwestya reformy sądów gminnych. Chodzi mianowicie albo o zupełne zniesienie, albo przynajmniej o zasadniczą reorganizacyę tej osobliwej instytucyi sądowej, w której pokładano tak wielkie, ale, jak widzimy, zawodne nadzieje. Mówimy teraz o sądzie gminnym jedynie dla tego, że pilna ta sprawa prawdopodobnie będzie na długo odroczona z powodu przeniesienia starszego prezesa izby sądowej p. Botowskiego na urząd naczelnego prokuratora I departamentu senatu. Zbyt wiele czasu potrzeba, ażeby nowy starszy prezes mógł osobiście poznać warunki działania sądów gminnych. W tak ważnej zaś sprawie wniosek starszego prezesa będzie posiadał rozstrzygające znaczenie. Wyprowadzenie zaś wniosku trudne nie jest; można okólnikiem spytać o opinię wszystkich przewodniczących zjazdów sędziów pokojów i staną po stronie większości. Ale może wydarzyć się odwrotnie; zręcznie zredagowane i namiętnie wypowiedziane zdanie jednego z członków w mniejszości może przeciągnąć starszego prezesa izby ku stronie niezupełnie odpowiadającej rzeczywistości. W obec takich warunków lepiej zaiste nie spieszyć się.“

WYBUCHY.

Historya, chociaż bogata w okropne zdarzenia, nie zna wypadku równego temu, jaki się zdarzył w Antwerpii. Francuzki przedsiębiorca Corvilain zakupił od rządu hiszpańskiego 51 milionów nabojów i umieścił je w magazynach obok składu nafty; 37 milionów w chwili wybuchu nie było jeszcze wypróżnionych, każdy zaś nabój zawiera 5 gramów prochu; wyleciało więc w powietrze 185,000 kilogramów prochu, rozsiewając na wszystkie strony deszcz z 51 miliona pochewek i 37 milionów kul. W odległości 100 metrów od miejsca wybuchu znajdował się skład nafty firmy Van Rieth i Sp., oraz miejskie magazyny nafty, wydzierżawione rozmaitym kupcom. Skład Van Rietha zajmował trzy basseny, z których największy zawierał 80,000 do 100,000 beczek nafty. Cały ten zapas, pokrywający obszar 60,000 metrów kwadratowych, stanął w płomieniach. Robotnicy natychmiast po pierwszym wybuchu prochu pootwierali kurki wielkiego bassenu, którego zawartość przesyciła na około ziemię, dastarczając płomieniom bezustannie nowego podsycenia. W olbrzymiem tem morzu ognia spaliło się około 200 ludzi. Liczba lekko ranionych, nieznajdujących się w szpitalach, przenosi 800. Szkody materyalne dotychczas jeszcze nie dadzą się ocenić dokładnie; wynosić jednak będą blizko 10 milionów franków. W obwodzie 1 kilometra na około miejsca katastrofy trudno znaleźć jeden cały przedmiot; wszystko zostało zdruzgotane lub na pył starte. W sąsiedniej wiosce Austrowell zapadło się siedm domów, grzebiąc pod swemi szczątkami mieszkańców. Straż ogniowa, łącznie z saperami, pracowała przez całą noc po katastrofie z niebezpieczeństwem życia, ponieważ co chwila następowały nowe wybuchy prochu i nafty. Część płonącej nafty spłynęła do rzeki Szeldy. Trudno opisać wiernie sceny straszliwej boleści i rozpaczy, odgrywające się na miejscu katastrofy i w szpitalach; najkrwawsza bitwa pod względem grozy równać się nie może z obrazem zniszczenia, jaki przedstawia miejsce tego straszliwego wybuchu. Przedewszystkiem nasuwa się pytanie: kto winien? Dozór i wydawanie pozwoleń na urządzanie zakładów I-ej klasy, zagrażających niebezpieczeństwem ognia, zależy od stałej delegacyi wydziału prowincyonalnego. Do niej zgłosił się swojego czasu przedsiębiorca o pozwolenie. We Francyi, odmówiono mu go, również i w Antwerpii opierały się władze miejskie wszelkiemi siłami; inżenier miasta Royers wygotował nawet memoryał, zwracający uwagę na groźne niebezpieczeństwo tego rodzaju zakładu. Mimo to udzieliła stała delegacya pozwolenia na urządzenie tego przedsiębiorstwa, i to w miejscu możliwie niebezpiecznem, w blizkości składów nafty. A pozwolenia tego nie cofnięto nawet wtedy, gdy przed kilku tygodniami nastąpił wybuch, w którym dwóch robotników śmierć poniosło. Znajdujący się w chwili katastrofy w Paryżu Corvilain, po powrocie do Antwerpii, na wniosek prokuratora został aresztowany.

* * *

Dziwnym zbiegiem okoliczności podobne — nie w tak nizkiej mierze—wypadki zdarzyły się w kilku punktach Europy, a także u nas w Karolówce (pod Rembertowem, stacyą kolei Terespolskiej). Robotnicy, zajęci przy ładowaniu zużytych a sprzedanych przedsiębiorcy nabojach artyleryjskich, spostrzegli między nimi jeden, który postanowili rozbić. Nastąpił wybuch, skutkiem którego kilkunastu obecnych poniosło ciężkie lub śmiertelne rany. Niektórzy się leczą, niektórym musiano poodejmować zgruchotane ręce lub nogi.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Wystawa rolniczo-przemysłowa w Wilnie przedstawiła się dość skromnie, jak tego po jej małej sile przyciągającej oczekiwać było można. Pokazała się gromadka szwyców, folblutów, sprzętów i wytworów gospodarczych. Ale miasto i prowincya nieco ożyły, co także dodać trzeba jako *plus* w sumie korzyści z wystawy. Według p. T. Czapelskiego, można było nabyć tanio dobre konie.

Politechnika zurichska od nowego roku szkolnego wymagać będzie, ażeby zapisujący się do niej kandydaci, będący poddanymi ruskimi, oprócz innych dowodów posiadali także świadectwo dobrego sprawowania się, naturalnie wydane przez policyjne władze miejscowe.

Sprawa kradzieży przedmiotów archeologicznych z muzeum Akademii umiejętności została sądownie rozstrzygnięta: główny sprawca, syn woźnego, S. Krzyżyk skazany został na 5 lat, antykwaryusz zaś, który od niego skradzione rzeczy nabywał, Kurnatowski, na 5 miesięcy więzienia. Jednocześnie wszakże ujawnił się bezład w samej gospodarce Akademii: zbiory nie były spisane w uporządkowanych katalogach, nieocenione co do swej wartości, tak, że dokładnie niewiadomo, co Krzyżyk ukradł i jaką spowodował stratę. To też akt oskarżenia raził słuchaczów ogólnikowością. Oby ten wypadek był przestrogą długo pamiętaną.

Sprawy kolejowe. Z polecenia władzy komunikacyjnej na wszystkich kolejach w Królestwie zaprowadzone będą jednego typu wagony ratunkowe, składające się z dużej platformy, zaopatrzonej w niezbędne przyrządy do naprawy maszyn, plantu lub mostu kolejowego, tudzież przyrządy i znaki ostrzegające, wreszcie zapas podkładów i relsów. Wagony pomieszczone na dystansach kolei, mają być gotowe na każde zapotrzebowanie.

— Plany tymczasowe mającej się budować w Syberyi kolei uzyskały zatwierdzenie. Nowa linia pójdzie przez południową Syberyę i okrąży jezioro Bajkalskie. Budowa prowadzona będzie na koszt rządu sposobem administracyjnym. Dworce, przystanki i wogóle wszystkie budynki tudzież mosty będą z drzewa. Najwyższa cena za wiorstę drogi — 25,000 rubli.

— Zarząd kolei Południowo-Zachodnich zamierza budować nową linię z Humania do Odesy z liniami bocznemi do Mikołajewa i Oczakowa. Koszty wyniosą około 11 milionów rubli; dochód przypuszczalny 880,000 rs.

Departament lekarski opracował pomiędzy innymi następujące przepisy, mające na celu zapewnienie spożywcom świeżego mięsa na targach miejskich: 1) W Petersburgu i Moskwie mają być utworzone specyalne stacye mikroskopowe na dworcach kolei. 2) Wszelkie mięso zepsute lub pochodzące z bydła chorego, powinno być natychmiast niszczone. 3) We wszystkich miastach, o ile możności, powinny być urządzone bydłobójnie miejskie, prywatne zaś — wzbronione. 4) W miejscowościach, gdzie niema urzędowej instytucyi weterynaryjnej, rzeź bydła powinna być dokonywana za pozwoleniem władzy miejscowej i pod kontrolą weterynarzy.

Ulgi, Ministeryum dóbr państwa czyni starania o uprawomocnienie zasady, aby koleje przychodziły z pomocą wszelkim wystawom rolniczym drogą przyznawania ulg w przewozie wystawców i okazów wystawowych.

Sądy. Na mocy ogłoszonego niedawno zdania Rady państwa o reformie instytucyj sądowo-pokojowych i włościańskich w Cesarstwie, pozostawiono ministrowi sprawiedliwości ocenę kwestyi, czy w większych miastach gubernialnych nie byłoby rzeczą możliwą utrzymać nadal istniejące obecnie urzędy sądowo-pokojowe. W wykonaniu powyższego zlecenia ministeryum sprawiedliwości zaprojektowało, aby dotychczasowe sądy pokoju utrzymać we wszystkich tych miastach Cesarstwa, w których istnieją sądy okręgowe, z tą jednak radykalną zmianą, że zasada wyborcza w obsadzaniu posad sędziowskich powinna być zupełnie usunięta i że rolę instytucyi apelacyjnej dla sądów pokoju, zamiast obecnych zjazdów, spełniać powinny sądy okręgowe. Zmiany powyższe, według planu ministeryalnego, rozciągać się mają nietylko na miasta prowincyonalne, lecz i stolice.

W Uniwersytecie warszawskim przy katedrze chemii organicznej utworzono posadę laboranta z płacą 700 rs. rocznie.

Stowarzyszenie przemysłowców utworzono w celu eksploatowania nowoodkrytych źródeł nafty w Sachalinie.

Nowe pismo. We Włocławku wychodzić ma gazeta p. t. *Nadwiślanin.*

Paszporty. Trudność otrzymywania paszportów przez robotników na statkach i tratwach płynących Wisłą za granicę zmuszała nieraz właścicieli statków do najmowania robotników zagranicznych. Obecnie, jak donosi *Warsz. Dniewn.*, p. gubernator warszawski wydał rozporządzenie, według którego robotnicy, dozorcy robotników i pisarze, jadący za granicę na berlinkach i tratwach, mogą odbywać te przejazdy za paszportami ustanowionymi na mocy wyjazdu z miejsca stałego zamieszkania wewnątrz kraju, z warunkiem, aby na dokumencie takim zaznaczony był każdy przejazd granicy, oraz aby władza wydająca ów paszport zamieszczała na nim zaświadczenie, iż dana osobistość rzeczywiście należy do pracujących na statkach.

Ochrony. Zamierzone jest wprowadzenie nauki koszykarstwa dla dzieci w ochronach, skutkiem czego dozorczynie mają kolejno obznajmiać się z tymi wyrobami i uczęszczać na naukę do majstra koszykarskiego.

Telefony. Główny zarząd poczt i telegrafów zamierza urządzić połączenie telefonowe między Petersburgiem i Moskwą. Kosztorys wynosi 100,000 rs.

Manewry. Wskutek przedstawienia jednego z kuratorów okręgów naukowych, że powoływanie na manewry studentów uniwersytetu, zaliczonych do zapasu, w czasie trwania wykładów uniwersyteckich, ujemnie wpływa na studya, ministeryum wojny po porozumieniu się z ministeryum oświaty wydało rozporządzenie, zwalniające studentów od powoływania ich na manewry, z warunkiem, aby po wyjściu z uniwersytetu stawiali się do odbycia powinności wojskowej jednocześnie z innymi żołnierzami zapasowymi tej kategoryi.

H U M O R.

Humor mimowolny. W jednym z tygodników warszawskich: „Czyż seminaryum winno, że zamiast subtelnego teologa wyrósł z Renana subtelny materyalista, ponieważ szukający teraz Boga zapomocą *rachunku różniczkowego i całkowego.*“ O tem nowem swojem zajęciu słynny filolog zapewne nic nie wie.

— W jednej z gazet warszawskich: „Dobre a *nieustępujące w niczem* zagranicznym fortepiany wystawił p. Sawicki z Wilna.“ Przypomina to nam słynny aforyzm pewnego fejletonisty warszawskiego: „Pińczów niema czego zazdrościć Paryżowi.“

Humor świadomy. Z 1890 r. naprzód się u nas rozśmiano. Pierwsze bowiem kalendarze przyszłoroczne są humorystyczne.

Jeden zowie się *Bąk.* Ma rysunki, koncepty i dowcipy. Ot np. taki:

Nauczyciel: „Powiedz mi, mój kochanku, jak synowie Jakóba sprzedali brata swego Józefa?

Uczeń: Uni go spsiedali bardzo tanio,“

Drugi, wytworniejszy i bogatszy w treść, nazywa się *Facet.* Nie przytaczamy z niego próbek, gdyż prawie do połowy przedrukowano go w... recenzyach, tak, że niedługo rozpłynie się w nich całkowicie.

W obu tych kpinkujących książeczkach zauważyliśmy jedną wspólną cechę — chęć utrzymania się w przyzwoitości. Wydawcy przytem postąpili wprost przeciwnie, niż nasi fabrykanci krawatów, którzy na wyrobach swojskich odciskają: *Paris* lub *Wien...*

Ogłoszenia.

Prenumeratorzy PRAWDY otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 8 Сентября 1889 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.